WARSZAWA I WARSZAWIANIE.

WARSZAWA
I
WARSZAWIANIE

SZKICE TOWARZYSKIE I OBYCZAJOWE.

PRZEZ

Antoniego Wieniarskiego.

Serya pierwsza.

TOM II.

WARSZAWA.

Nakładem KAROLA BERNSTEJNA, Księgarza.
przy ulicy Miodowéj pod Nr. 483.

1857.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 3 (15) Listopada 1856 r.

Starszy Cenzor, *F. Sobieszczański.*

w Drukarni J. Jaworskiego.

RYSOPIS WARSZAWY.

WARSZAWA W POŚCIE.

Jak kończąc ustęp o karnawale powiedziałem, że w ostatnich dniach dogorywa już tylko sztucznym i tylko przez zapalonych zwolenników podniecanym blaskiem, tak ze świtem poranku zwiastującego popielec umiera on już na piękne. Ażeby nie było widocznych po nim śladów, pozostałe trupy wynoszą i wywożą z balików przyjacielskich, z kawiarni i z szynków, pozbywając się tak potrzebnych i pożądanych przed niedawnym czasem muzykantów, którzy jak zmory nocne wybledli, nie wyspani, w pół pijani, w pół odurzeni suną zaułkami do domów, ten ze

skrzypcami pod pachą, ów z waltornią pod lekkim surducikiem, inny z basetlą na ramieniu, odsypiać przez cały post niedospane w ciągu karnawału godziny.

Smutne to życie tych rozsiewających wesele ludzi; a choć właściwiej byłoby pomówić o nich przy karnawale, jednakże, gdy oni przez cały post najszczerzej poszczą, od nich zacznę moje wielko-postne uwagi.

Warszawianie przepadają za muzyką; zagraj choćby na drumli, a możesz być pewny że znajdziesz zaraz liczne koło słuchaczy. Znają to dobrze właściciele rozmaitych zakładów gastronomiczno-spacerowych i ścigają się w zamawianiu orkiestr swoich i obcych. W ostatnich czasach przyszło do tego, że na odgłos naszych muzykalnych sympatyi, zleciała się do nas chmura wrocławskich i berlińskich pseudo-artystów, aby wydrzeć naszym biedakom kąsek chleba niezbyt obfity.

Ale i u nas nie brak takich którzy spekulują na upodobanie publiczności. Byle kto umiał ciągnać smyczkiem po skrzypcach, dmuchać w

waltornię, rzępolić na basetli, albo bić w bęben, łakomiąc się jak to mówią na lekki chléb, zaciąga się pod chorągiew Rajczaka, Chojnackiego, Lewandowskiego, Kuhnego, Jacobiego i t. d. i t. d. którzy popularnością swoich nazwisk, zacierają wszelkie niedostatki rozmaitéj rzeszy, utytułowanéj nazwą orkiestry. Jaka praca taka płaca. Panowie dyrektorowie orkiestr godzą się grywać na wieczorkach, przy wodach, w ogródkach, w kawiarniach, w bawarjach, biorą nieraz sute pieniądze, a swoim kompanom, zwłaszcza tym którzy, jak Beduini koczujące prowadzą życie, każą obywać się *przyjemnością* odbieranych od publiczności oklasków. Dobre by były i oklaski, ale tu częstokroć żona i gromadka dzieci o głodzie i chłodzie czekają na lichy zarobek,—ale najczęściej tego któremu brzmią jeszcze w uszach świeżo wygrywane polki i walce, w progach pod-strychowych kletek spotyka płacz biednéj rodziny, jęki chorego ojca, albo dogorywającéj matki.

Pomiędzy szeregami spekulujących tylko na upodobanie publiczności, jest jeszcze wielka licz-

ba rzeczywiście zdolnych jak ich pospolicie nazywają *muzykantów*, trzymających się zapamietale smyczków lub klawiszy fortepianowych,—takich którzyby za hańbę sobie poczytali schwycić się innego rzemiosła, albo takich, którzy przeszedłszy różne koleje losów w złomane przeciwnościami ręce, chwytają ostatnią poręcz nędznego utrzymania się—instrument, który w młodości lub w szczęśliwych chwilach był dla nich zabawką.—Tacy rzeczywiście godni politowania,—praca uciążliwa, poniżająca, a zarobek taki lichy. Nie jedna noc spędzona przy nie wdzięcznym instrumencie nie przyniesie nawet tyle, aby za to dzień cały przeżyć można. Przytaczam tu malutki przykład z historyi tych wesoło-smutnych ludzi,—bo przykłady najlepiej w takich razach objaśniają założenie piszących.—

W zeszłym karnawale byłem na wieczorze gdzie grała jedna z tutejszych orkiestr, ale czyja, to już dobrze nie pamiętam. Z pomiędzy licznych członków tej orkiestry zainteresował mnie staruszek grający na skrzypcach, nie dla tego że grał czysto i śmiało, ale że w twarzy je-

go łagodnej i poważnej rozlany był wyraz przenikającego do duszy smutku. O ile tylko ruch wesołego towarzystwa pozwalał mi, zbliżałem się ku orkiestrze, wpatrywałem się w twarz smutnego starca, a nawet raz przy sposobności przemówiłem do niego życzliwe słówko.—W czasie kolacyi, w której mężczyzni o tyle tylko brali udział, o ile docisnąć się mogli do stołów, zdobywszy szturmem parę kotletów i kawałek bułki, wyniosłem się do sali aby spożyć spokojnie zdobyty posiłek. Za moim przykładem poszło jeszcze dwóch czy trzech z młodzieży, jeden przyniósł kilka zrazów polędwicy, drugi kawałek indyka, trzeci talerz komputu; dzieląc się więc naszemi łupami zasiedliśmy w około stojącego w rogu stoliczka i puściliśmy wodze apetytowi, gdy nagle z pokoju gdzie była umieszczona orkiestra, dobiegły do nas tony ślicznego rzewnego, Nocturna Szopena. Rzuciłem nie spożytą część moich łupów, bo przywidziało mi się że to pewnie gra ten starzec. Powiedziałem o nim słów kilka kolegom i poszliśmy przekonać się czy tak było w istocie. Nie zwiodło mnie

przeczucie — starzec grał, a po bladej jego twarzy płynęły łzy. Staliśmy w progu bez ruchu, prawie bez odechu,—gdy skończył, położył skrzypce, westchnął, rękawem szorstkiej kapoty otarł oczy i oparł głowę na ręku. Wtedy nie mogłem powstrzymać się i zapytałem starca o powód jego smutku.

— Mój smutek panie nie dziś się zaczął i nie jutro się skończy, odrzekł ściskając czule podaną rękę. Długa to historya i nie do opowiadania na balu. Tu swoboda, wesołość, a tam!.... Tam pan przyjdź jutro z rana, a nie będę potrzebował nudzić cię słowami—obaczysz powody moich łez. Tam—tam na Browarnej ulicy Nr. 24 ** na poddaszu.

Chcieliśmy złożyć się na skromny datek, ale starzec go nie przyjął,— mówiąc że Szopena grał dla siebie, i że uważałby za świętokradztwo, sprzedawać słowa jego duszy, tym którzy przyszli słuchać polek i kontredansów.

Nazajutrz stawiłem się w mieszkaniu starca. Zgadnijcież com obaczył, wy wszyscy którzy wywijaliście grane przez niego mazury i oberta-

sy? W izdebce niskiej i maleńkiej na jednem z łóżek leżała sparaliżowana kobieta, żona starca nie podnosząca się już na nogi od lat kilku, a w kącie siedział głuchoniemy i garbaty syn wyplatający koszyki z sitowia i niewidoma od urodzenia córka, dwudziesto-kilko letnia blondynka, spiewająca czystym i rzewnym głosem pieśń do Matki Najświętszej „Witaj królowo nieba i matko litości." Gdym wszedł — starzec wziął mię za rękę i prowadząc oczyma po izdebce, rzekł:—

— Oto powody mego smutku i moich łez. Urodziłem się panie pod szlachecką sztrzechą — byłem później to dziedzicem niewielkiej cząstki ziemi, to dzierżawcą, to wreszcie officjalistą prywatnym. Miałem ośmioro dzieci — najstarszy syn tuła się gdzieś po świecie, dwóch w wojsku, — dwie córki wyszły za mąż, za biedaków takich jak i my, — jedna szarytką, a ot tych dwoje przy mnie. Widzisz ich pan — więcej nie potrzebuję mówić. Te skrzypce to jedyny nasz skarb. Cząstkę zabrali dłużnicy, na dzierżawie straciłem resztę, wysługiwali się mną panowie dopóki by-

łem młodszy, a teraz starzec, kaleka otoczony kalekami przywlokłem się tu w te obrzydłe mury, aby nie umrzeć z głodu. Panie! Panie! strach pomyśleć! strach! Oto wczorajszy zarobek—*półrubla*—a tu trzeba kupić lekarstwo żonie, nakarmić kaleki i myśleć o jutrze,—bo jutro może i pół rubla nie będzie.

Mówiąc to starzec zalał się rzewnemi łzami,—ale otarł je prędko bo chora żona odwróciła się od ściany, i wyciągnęła ku niemu wychudłą rękę.

Co dalej zaszło, to już nie wchodzi w mój plan. Chciałem tylko pokazać wam czytelnicy życie tych nieszczęśliwych ludzi uprzyjemniających godziny naszego życia,—chciałem przemówić do kommenderujących orkiestrami aby sumienniej wynagradzali niewdzięczną pracę. Oni lepiéj wtajemniczeni w te straszne historye rozpaczy muzykalnych ofiar, tłukących nie raz na progu własnych mieszkań niewdzięczne instrumenta, przeklinających i ich i siebie,—oni także przechodzili może podobne próby—powinni więc

pamiętać że każdą łzę pokrzywdzonej niedoli, znajdą kiedyś w swoim rachunku.

Gdy podobni owemu starcowi biedacy idą do domów przemyślając z czego tu żyć przez cały post, a na ulicach dogorywają balowe latarnie, w kościołach odzywają się dzwony oznajmiające warszawskiemu ludowi dzień pokuty—*popielec.*

Rzecz na pozór dziwna, a jednak w gruncie bardzo właściwa, że w otwarte podwoje świątyń pańskich, garną się najprzód ci co najmniej w karnawał grzeszyli. Spokojni obywatele i obywatelki starego grodu, rachujący się ściśle z groszem urzędnicy, fabrykanci i rzemieślnicy, którzy nawet o poniedziałkach nie pamiętali, podżyłe wdowy, stare panny, a wreszcie różnych klas społeczeńskich dewotki i tercyarki, spieszą najprzód do kościołów, przyjąć na głowy *popiół* i wyprosić przebaczenie za skromne karnawałowe wybryki. Około godziny 11-tej kościoły napełniają się elegancyą, która bynajmniej nie uchyla się od tego religijnego obrzędu, i dąży w pokorze i skrusze przyjąć upomnienie, że z prochu powstała i w proch się obróci.

Wyznaję tu szczerą prawdę że rzadko zdarzy się aby miasto mające blisko dwa kroć sto tysięcy mieszkańców było tak ogólnie, a nieobłudnie *pobożne*. W każdą niedzielę w każde święto do wszystkich kościołów warszawskich, przetłoczyć się nie można, a wszelkie uroczystości religijne, processye na Boże ciało, odpusty, roraty, passye, czterdziesto-godzinne nabożeństwa i t. d. odbywają się zwykle wśród niezliczonych tłumów osób różnego stanu, płci i wieku

Tłumów tych nie prowadzi ani chęć popisania się z pobożnością, ani jak to zagranicą bywa spekulacyjna ciekawość, każdy dąży z sercem szczerze religijnem, z myślą oddania czci swemu Stwórcy. W ławkach kościelnych siedzi przekupka obok jaśnie wielmożnej pani, szewc obok wysokiej rangi urzędnika, a ławki zamykane coraz w mniejszej pojawiają się liczbie,—bo jak tylko do takiej ławki wejdzie pan lub pani, odróżniający się od reszty ludu,—nie pomagają wszelkie protestacye lokai i publiczność właściciela lub właścicielkę ławki, czasem aż w sam kąt zapędzi. Na kościele jedni klęczą, inni stoją, a także

bez żadnej klassyfikacyi, nawet przeznaczenie kobietom prawej strony, a mężczyznom lewej, okazało się niepraktycznem. Wszyscy modlą się jak umieją, jedni na książkach, inni na różańcach, inni z pamięci. Często widzieć można ludzi młodych, różnych stopni towarzyskich, klęczących przykładnie, w ciągu całego nabożeństwa, albo modlących się z książek. Gwary, rozmowy nie przystojne oglądania się, są tak rzadkie, — że ten któryby się śmiał na coś podobnego odważyć, znalazłby całą zgromadzoną publiczność oburzoną na siebie, i nie mógł by być pewnym czy przed drzwiami kościelnemi nie spotka go lekcya przyzwoitości. Kobiety wszystkie bez wyjątków modlą się tak pobożnie, że ktoby obszedłszy kościoły chciał sądzić o ich usposobieniu moralnem, wziąłby przynajmniej połowę za osoby święte. Widziałem nie raz kobiety liczące tyle grzechów, ile kroków postawią na ulicach, klęczące na stopniach ołtarzy, zalane łzami, nie pokuty ale przynajmniej żalu. Pomiędzy sługami wiele jest takich które nie opuszczą ani jednego dnia, aby choć pacierza nie zmówiły w kościele — a byłem świad-

kiem jak kilka z kucharek lub młodszych, dziękowały za służbę z tego jedynie powodu że niepozwalano im w niedzielę i święta wychodzić na nabożeństwo do kościołów. Te usposobienia religijne Warszawian stojąc na straży ich serc, bronią ich od wielu występków i zbrodni, z których słyną stolice zachodu. Daj Boże, aby tak było i dalej, daj Boże aby nasi kapłani przejmowali się ważnością swego posłannictwa, aby więcej pojawiało się takich zakładów jak ochrony dla małych dzieci, jak dom schronienia i opieki Najświętszej Maryi Panny, jak zakład św. Wincentego a Paulo, aby Czytelnia Niedzielnia nie 3000 ale 10,000 liczyła prenumeratorów, aby pisma publiczne chłoszcząc bez litości wady ogólne, nie pochlebiały dla własnego interessu kryjącym się pod maską zdrożnościom—a może kiedyś Warszawa, wiedziona za rękę przez religiją i surową moralność, stanąć będzie mogła za wzór krajom i miastom, do których dziś jeszcze zlatują się tłumy ludzi, aby ujrzeć choć kruszynkę miedzianego ich czoła.

Ale oddawszy cześć ogólnym religijnym usposobieniom Warszawian, przejrzyjmy szczegóły;

zajdźmy do kościołów przypatrzeć się górującej w każdym z nich liczbie publiczności.

Arystokracya Warszawska słucha zwykle nabożeństwa w kościele księży Kapucynów, albo u Śgo Alexandra albo u Kanoniczek; dla tego też przed temi kościołami zawsze karet i powozów najwięcej. Za arystokracyą jak satelity ciągną eleganci, którzy jedni z całej Warszawy nie mogą jeszcze pozbyć się tradycjonalnej chętki *imponowania Panu Bogu w Jego własnym domu.* Tacy przychodzą zwykle na pięć minut do kościoła, wejdą korytarzem po prawej stronie, przespacerują do koła przez zakrystyą i wyjdą korytarzem z lewej strony.—Tacy wchodzą w targi z chłopcami o krzesła i stołki, i znoszą je damom; choćby przez głowy spokojnych pobożnych,—tacy ośmielają się czasem szeptać coś do kogoś, oglądając się jednak na szwajcara,—tacy wreszcie stają *na przegląd* przed drzwiami kościoła, utrudzając wyjście tym którzy nie dla ich widoku się tam zgromadzili.—Był czas kiedy w kościele księży Kapucynów, w kaplicy zwanej kaplicą Sobieskiego bywała zawsze o jednej godzinie jedna z naj-

głośniejszych piękności. Otóż od rana trudno się było przecisnąć pomiędzy oczekującemi na pojawienie się owej gwiazdy, a kiedy się zjawiła to na żadnym wiejskim odpuście nie bywa takiego tłoku, jaki bywał w ówczas na korytarzach prowadzących do tej kaplicy. Dziś już ta gwiazda nie przyświeca Warszawie, a jednak wiele małych gwiazdek ciśnie się do kaplicy Sobieskigo, sądząc że wpływ dawnego uroku i im się udzieli.—

Ważną cechą wyżej wspomnionych kościołów jest to, że gdyby kto stanął we drzwiach i odebrał książki do nabożeństwa osobom idącym modlić się, to znalazłby pewnie większą połowę francuzkich. Fredro powiedział;—,,czy górą czy lasem—miło angielską milą przejechać się czasem"; a ja dodam:

Książki polskie—dla ciebie małych potrzeb tłumie,
Z francuzkich wielkie prośby, Bóg lepiej zrozumie.

Kościół księży Pijarów skromny, prawie ubogi, słynie z porządku z przykładnego i poważnego odbywania obrzędów religijnych i najlepiej dobranych chórów amatorskich. Wszystkie znako-

miłości muzykalne Warszawy przyjmują udział w tych chórach, niosąc szczerze i chętnie swe talenta, na chwałę Pana Zastępów. Niektórzy z amatorów i amatorek, od lat kilku nie opuszczą żadnej niedzieli, żadnego święta stawiąc się regularnie o godzinie dziesiątej pod komendę pana Prohazki zdolnego muzyka i organisty, kierującego od dawna temi chórami. Rzadko się zdarzy, aby który z przejeżdżających przez Warszawę znakomitych artystów Polaków, nie przyczynił się swym talentem do urozmaicenia i podniesienia tych ogólnych usiłowań; bądź przyjmując udział w wykonaniu dzieł muzycznych, bądź ofiarując własne swe prace. Do kościoła Pijarskiego zgromadzają się zwykle na nabożeństwa zaczynające się najzóźniej o w pół do jedenastej, wszyscy amatorzy muzyki, ludzie którzy unikają tłoku, urzędniczki kończące rano swoje tualety, urzędnicy poważni i religijni, a wreszcie młodzież lubiąca passyami oglądać się na śpiewające na chórze amatorki.—Kto był raz w kościele Pijarskim i przyjrzał się dobrze osobom tam zgromadzonym, ten może być pewnym że te same oso-

by zastanie drugiej i trzeciej niedzieli, a nawet w tych samych miejscach. Tłoku zbytecznego prawie nigdy tam niema, wyjąwszy gdy rozbiegnie się wiadomość, że jaki kometa artystyczny ma się pojawić na chórze.

Oddając sprawiedliwość chętnemu poświęceniu talentów na usługę Bożą, chcę wierzyć i wierzę, że do tych poświęceń nie mieszają się żadne światowe cele, że wszelkie pretensye zostawiają się przed progiem kościoła. Jeżeli tak jest—a tak być powinno, bo Bóg brzydzi się ofiarami pod Jego imieniem próżności niesionemi, po co te prezentowania się z chóru amatorów i amatorek zebranej publiczności, dla czego każda z osób nie siedzi spokojnie w głębi chóru, przystępując tylko wtenczas do galeryi kiedy z obowiązku wypada, po co te rozmowy, szarmantowania damom, bawienia ich dyskursami. I chór kościół—a im wyżej, tym widoczniej podpada się chwale lub naganie—jak powiedział Krasicki.— Co kto niesie Bogu, to nie powinien, nieść przez oczy ludzkie,—kto tę prawdę pojmuje ten pragnie aby chór Pijarski odgrodził się od oczu zgroma-

dzonych na modlitwę, ale nie na oglądanie się na soprany i tenory, jakąś nieprzejrzaną zasłoną—aby wstęp na chór dozwolony był tylko tym, którzy przyjmują udział w wykonaniu dzieł muzyczno-religijnych, aby wszelkie wyglądania na kościół były kodeksem karnym zabronione. Wtedy chóry Pijarskie zyskają w dwójnasób, ofiarę ich milej Bóg przyjmie, a ludzie większem poszanowaniem otoczą. Ubędzie może tych którzy stojąc z boku pokazują sobie palcami:—„widzisz to panna ta albo ta, to pan ten lub ów! ale to mała szkoda,— takich, dopóki nie zastanowią się nad własném głupstwem, bodajby może jak najmniej w kościołach bywało.

Kościół Farny wielki i wspaniały, nęci tych którzy lubią okazałość w obrzędach, i głośną muzykę. Używam tu obydwóch tych określeń, jedynie dla zcharakteryzowania publiczności najwięcej do Fary uczęszczającéj. Okazałość w obrzędach jest konieczną w kościele przewodniczącym wszystkim innym, a orkiestra którą dyryguje jeden z zasłużonych i znakomitych muzyków, musi używać instrumentów głośniejszych, bo ina-

czej niewydałaby się w kościele tak obszernym i wyniosłym jak kościół św. Jana. Ludność rzemieślnicza gromadzi się najwięcej do kościołów: Dominikanów, Panny Maryi, po Paulińskiego św. Ducha, ś-to Krzyzkiego, Reformatów, Augustyanów, Karmelitów na Krakowskiem-Przedmieściu, tak jak znowu ludność z przedmieść, do kościołów: Karmelitów na Lesznie, ś-go Karola Boromeusza. Kościoły: Bernardynów i Franciszkanów Panien Wizytek, Panien Sakramentek mają zwykle większą połowę ludnosci tak zwanéj *pańskiéj*.

We wszystkich tych kościołach, z których znaczna część utrzymuje się tylko z dobroczynnych ofiar, widzimy okazałość w wewnętrznem urządzeniu, znajdujemy wszystkie apparata w jak największym porządku. Częstokroć nawet bogate ołtarze okryte mnóstwem pobożnych wotów, a a to wszystko, można śmiało powiedzieć, są dzieła religijnych uczuć Warszawian.

Niech tylko gdzie okaże się potrzeba jakiej reperacyi w kościele, to zamożni majstrowie ścigają się z gotowością poświęcenia swéj pracy na

obsługę domu Bożego,—niech tylko kapłan wspomni, że potrzeba albo dywanu przed ołtarz, albo ornatu, albo komży,—to Warszawianki jedna przed drugą haftują i szyją, aby brak ten zastąpić. Tak samo dzieje się z ofiarami w pieniądzach,—gdy zakrystyan wyjdzie z tacką na kościół, to najbiedniejszy wyrobnik sypła w węzełku, i choć grosz ciężko zapracowany, ale ze szczerą wolą rzuca między dziesiątki i złotówki.

Niech tylko ksiądz kwestarz stanie w progu mieszkania, a pewno puszki darmo z pod habitu nie wydobędzie. Nie było przykładu aby gdzie zamknięto drzwi przed kwestarzem, a jednego z nich księdza Piotra kwestarza Bernardyńskiego, zna i kocha cała Warszawa. Miłości tej nie zaskarbił sobie ksiądz Piotr ani ukłonami, ani pochlebstwem, ani nie właściwemi dla zakonnika grzecznostkami,—i owszem ksiądz Piotr powie prawdę nie jednemu, zwięźle a logicznie,—ale ksiądz Piotr zachodzi z *jałmużną słowa*, do biedaków mieszczących się pod strychami, do kalek, lub złożonych chorobą, mówi im o miłosierdziu Bożem, zachęca, zagrzewa do wytrwałości, zbroi

ich dusze do walk z cierpieniami, a czasem i własny grosz dobędzie z pod habitu, gdy widzi że i jałmużny czynu potrzeba. Ciche czyny rozszeptano po całej Warszawie i dziś gdzie się ksiądz Piotr obróci, wszędzie znajduje serca oceniające go należycie.

Mógłbym przytoczyć tu wiele zdarzeń wiążących się z czynami księdza Piotra, nad któremi uronilibyście nie jedną łzę współczucia, ale niechcę obrazić skromności zacnego kwestarza, i ograniczę się na przytoczeniu jednego tylko faktu głośniejszego nad inne.

Znany był powszechnie całej Warszawie pod imieniem kaleki z domu Elerta, nieszczęśliwy Szwambek, który okryty ranami trzydzieści siedm lat na łożu boleści przepędził. W ostatnich kilku latach wisieć musiał na pasach, bo nie było najmniejszej cząstki w całem jego ciele, nie jątrzącej się od ran. Warszawa składała się na utrzymanie tego męczennika, a ksiądz Piotr odwiedzał go co dzień dwa razy, osładzał jego niedolę, nadzieją przyszłego życia, wystawiał mu cierpienia śś. Męczenników, mówił mu o nagro-

dzie jaką im Bóg zgotował za ich męztwo, ratował duszę aby nieupadła pod naciskiem rozpaczy. Gdy Bóg wyzwolił z więzów życia nieszczęśliwego kalekę, ksiądz Piotr z braterską czułością zajął się jego pogrzebem. Niezliczone tłumy ludu zgromadziły się na ten pogrzeb, rozrywano szczątki pozostałéj odzieży, kawałki całunu, w przekonaniu, że człowiek który znosił wytrwale, przez większą połowę swego życia takie męczarnie, tą nadludzką wytrwałością wyjednał sobie łaskę u Boga. Ksiądz Piotr przemówił jeszcze do serc Warszawian i oświadczył się z chęcią kwestowania na pomnik dla nieszczęśliwego kaleki. Prośba jego została wysłuchaną, w kilka miesięcy na cmętarzu Powązkowskim stanął skromny kamienny nagrobek, z tym rzewnym, a jak wieść niesie przez księdza Piotra ułożonym napisem:

On w kalectwie bez szemrania
Swój doczesny zamknął świat,
Cierpiąc czekał dnia skonania
Aż trzydzieści siedm lat.
Ludzkość czuła na cierpienia,
Wzniosła mu ten znak wspomnienia.

Rozszerzyłem się więcej nad pobożnością Warszawian, aby tym którzy Warszawy nie znają, nie było dziwno gdy im powiem, że przez wszystkie dnie wielkiego postu odbywają się w kościołach Warszawskich nabożeństwa popołudniowe, tak zwane passyjne, a na każde z takich nabożeństw potrzeba przyjść wcześnie, aby się do kościoła dotłoczyć. Kto wejdzie nie może słuchać obojętnie, jak częstokroć parę tysięcy głosów śpiewa, rzewne religijne pieśni tak zwane *Gorzkie żale.* Sam układ tych pieśni prosty a serdeczny, nuta smutna a wspaniała, usposabiają do rozmyślań, — a cóż dopiero gdy rzuciwszy okiem po kościele, ujrzymy nie w jednych oczach łzy, gdy głos drżący wzruszeniem, powie nam co się tam głębiej w piersiach śpiewających dzieje.

Znakomity Kaznodzieja ksiądz Bogdan chciał zrobić przysługę publiczności i literaturze, ubierając gorzkie żale w ozdobniejsze szaty, dając im ogładę i wytworność teraźniejszych poezyi. Może i dobre miał chęci, ale skutek przekonał go, że u nas grzechem jest targnąć się na siwiznę religijnych pieśni. Z początku kilka cieniut-

kich głosików, (zapewne zwolenniczek postępu) odezwało się z *postępowemi żalami*, ale widząc że giną w powodzi innych głosów i te głosiki przestały protegować gładką nowość, a stare gorzkie żale odzyskały dawne prawa.

Ciągle modlić się niepodobna, trzeba więc pomyśleć o rozrywkach. Smakosze pierwsi dają hasło obchodząc w uroczystym marszu wszystkie handle i witając tu przednie śledzie, owdzie wyborny sztokfisz kapucyński, gdzie indziej arcy doskonałe ostrygi, albo rozpływające się w ustach łososie i minogi. Co to przy takich powitaniach uciechy, cmoktań, całusów, prawdziwie, że nie jeden ojciec nie wita się z podobną serdecznością, ze swemi dziećmi.

— A mój Redelku niech ci Bóg da zdrowie za tego sztokfisza, a toć jabym jego zapach w Mokotowie posłyszał;—a jaki narosły—o patrzcie—jakby na fluksyą chorował,—a jakie masełko? —uu—chodź Redelku kochanku, niech cię uściskam ucałuję.

Drugi mówi.

— Rezlerku serce—z kąd ty u djabła wyr-

wałeś takich śledzi,—a toć ich do ust donieść trudno—w powietrzu się rozpływają. Dalibóg ty ich musiałeś wprzód paść wielorybami, a dopiero łapać i solić.

Trzeci krzyczy na całe gardło.

— Brylusiu! gwałtu! trzymaj mi język, bo bestya chce wyskoczyć do twego łososia. W nocy spać nie mogłem;—co zmrużę oczy,—to jest ta szelma, tłusty jak słonina a miękki jak pyski u niemki. Ty mnie chyba musisz na noc okładać swoim łososiem, bo inaczéj to się o pół nocku zerwę i do ciebie przylecę.

Ktoś dobroduszny nasłuchawszy się podobnych uniesień, myślałby, że takim panom rzeczywiście tak smakują sztokfisze, śledzie i łososie,—gdzie tam,—oni z takim samym zapałem będą jutro wysławiać befsztyki, a pojutrze główkę cielęcą, im idzie o pozór, a czy to nie dobra okoliczność powiedzieć komuś.

— Ja szczerzę poszczę cały post i z całym domem. Żona passyami lubi wszystko z olejem, a ja oleju znieść nie mogę i muszę cichaczem wymykać się tu na tego doskonałego sztokfisza.

Sztokfisz oblewa się zwykle winem, albo porterem, potem cygarko dobre bardzo pachnie, potem i kawki czarnej dla strawności napić się trzeba i rubelek tonie w kantorku kupieckim, a poszczący jegomość zadowolniwszy podniebienie idzie głosić przed całym światem że *szczerze pości* i zachwalać domownikom kluseczki z olejem.

Po smakoszach dalszemi mistyfikatorami téj części roku są panowie którzy przestrzegają aby w ich domach broń Boże niedopuszczano się żadnych wesołych rozrywek. Zejdzie się kilka osób, bądź mężczyzn, bądź kobiet, zaraz wysuwają zielone stoliki, rozkładają karty, kredki i gospodarz oznajmia, że w poście tylko poważnemi zabawami można się zajmować. Siadają tedy wszyscy do téj poważnéj zabawy — pula idzie za pulą, przegrani się gniewają, wygrani dowcipkują i czasem godzina pierwsza i druga po północy zastanie jeszcze poważne towarzystwo przy téj poważnéj zabawie. Preferanso- i wisto- mania zaczyna szerzyć się coraz bardziéj w Warszawie, przechodząc, że się tak wyrażę w krew jej mie-

szkańców różnego stanu,płci i wieku. Darować potrzeba ludziom sędziwym, ludziom spracowanych myśli, starganych sił, że szukają mechanicznéj rozrywki, że uwagę przykuwają na kilka godzin do ośm bez atu, lub do czterech asów, ale co powiedzieć o kobietach licytujących się przy zielonych stolikach, albo o młodzieży ślęczącéj po całych nocach nad malowanemi damami, podczas gdy tyle żywych ziewa w salonach, gdy tyle książek leży bez użytecznie na półkach księgarskich, gdy tyle myśli pożytecznych zastąpić może owe bez myślne *pomagam i przyzywami*. Panowie ja was przyzywam przed zbyt łagodnego sędziego, przed wasz własny rozsądek — zapytajcie się go, tylko szczerze, tylko otwarcie, a on wam powie czy to wasze pole—te dwa łokcie zielonego sukna kredowemi cyframi zamazanego?

Dziwne to są te nałogi ludzkie! Znałem jednego jegomości który codzień dwudziesto-czterema godzinami tak rozporządzał, cztery godzin spał, pięć godzin siedział w biurze, dwie godzin jadł, jednę godzinę się ubierał, a przez dwanaście godzin grał w karty. Widziałem że za każdą razą

zapisywał starannie w umyślnie zaprowadzonéj książeczce przegrane, i wygrane i zapytałem go raz jak też na téj profesyi wychodzi.

— Różnie, — odpowiedział, ale jeżeli grywam w jednych towarzystwach i po jednéj cenie, to przegrana kompensuje się wygraną. W roku zeszłym po całorocznem obliczeniu się, okazało się, że wygrałem 27 kopiejek!

Słuchajcie! ten człowiek sprzedał 4,380 godzin życia za 27 kopiejek! Marnotrawca Ezaw sprzedający prawo pierworodztwa za miskę soczewicy, będzie jeszcze przy nim najoględniéjszym ekonomistą.

Ale takie marnotrawstwo najdroższego kapitału, powierzonego nam do użycia, nie pochodzi częstokroć z chciwości; źródła tego nałogu szukać należy *w lenistwie*, które wybiera wszystko co najlżejsze. Chcąc inaczéj rozrządzić temi 4,380 godzinami potrzeba było zamienić się w człowieka czynu, nagiąć myśl do rzeczy poważniejszych, chwycić do ręki książkę, pióro, instrument muzyczny albo pędzel malarski, a to tak ciężko brać się do takich trudnych rzeczy, tak się nie chce

lub nie umie zapoznać się z niemi. Przecież te zbywające godziny trzeba koniecznie czemś zabić,—zielone stoliki i karty uśmiechają się tak ponętnie—leniwcy biorą ten uśmiech za szczere złoto i lgną duszą i sercem do téj łatwéj przyjemności.

O szulerach nie mówię tu wcale,—inna to kasta ludzi a na szczęście nie zbyt u nas liczna. W ostatnim roku salony resursy kupieckiej zaczęły osłaniać zbyt gościnnie malutkie gry—po rublu punkt preferansa, albo geryłasza, ale gdy przy zdawaniu reszty trafiły się jakieś malutkie zawikłania, które rozniosły się po całej Warszawie,—ujęto podobno w karby kodeksu karnego hazardy pewnych panów, a spory kazano między ścianami resursowemi rozstrzygać. Ostróżność nie konsekwentna,bo szydło z worka wyleść musi, a życzylibyśmy z serca resursie aby podobne szydła z jéj murów na wierszch nie wyłaziły.

Podczas kiedy mężczyzni starzy i młodzi preferansują i wistują, kobiety które niezaciągnęły się jeszcze pod chorągwie waletów, panienki i młodzież tak zwana *goła*, bawią się znów *w gry*

niewinne. Niewinność tych gier pochodzi podobno ztąd, że w nie dawniej same niewinne bawiły się istoty. Dziś niestety dzieje się inaczej, —widzimy nieraz osoby dawno już wyrosłe z niewinności a bawiące się w niewinność. Dopóki jednakże wesołość i swobóda towarzyszą tym grom, dopóki pierścionek, kotek i myszka, gotowalnia, pan pastor i tym podobne są na placu, dopóty mi żal popatrzeć i roześmiać się, ale gdy uczone towarzystwo wprowadzi, szarady z osób, pytania i odpowiedzi wierszami, jakiegoś tam wojażera, jakiegoś sekretarza, o wtedy uciekaj póki ziewać nie zaczniesz, póki się nie umęczysz i co najczęściej bywa jakim nie w porę powiedzianym konceptem nie skompromitujesz.

Od takich gier *niewinnych* przechodzi się najczęściej do czegoś gorszego. Przy grach dają się fanty, fanty potem się sądzą, a sędziowie za karę każą grać albo tańczyć polkę. Przetańczywszy za karę, ochota bierze spróbować jak to się w poście nie za karę tańczyć będzie,—próbując niemożna poprzestać na polce, trzeba spróbować i walca i mazura i kontredansa. Próby idą wy-

śmienicie,—ej Pan Bóg daruje – odczegoż wielkanocna spowiedź,—mówi sobie jeden i drugi i tak często niewinna zabawka do białego dnia się przeciągnie. Gdyby poczciwe nasze prababki, które przez cały wielki post domowe instrumenta muzyczne kirém okrywały, — gdyby nasi zacni praojcowie którzy przez czterdzieści kilka dni na dębowych ławach bez pościeli sypiali, wstali z grobów, to wyparliby się swoich wnuków przeciągających gwałtem przywileje karnawału aż do wielkiej-nocy, to zapłakaliby nad płochością harakteryzującą nas i w małych na pozór rzeczach.

A ta płochość, ta płochość! to choroba na którą niestety coraz więcej osób zapada. Przejdźmy się naprzykład po Warszawskich domach i obliczmy ile to rąk rozbija fortepiany, chcąc koniecznie muzykalnem zjawiskiem na świecie zajaśnieć. Muzyka nadzwyczaj wegetuje w poście, więc o niej tu szerzej pogadam.

Zdaje się że czytelnicy uwierzą bez dowodów, iż prawdziwy talent wydo będzie się na wierzch, chociażby go kilkoma cetnarami przeciwności

przycisnął, tak jak znowu metrowie sprowadzeni z całego świata nie wleją go w istotę, która jak machina, wie tylko jaki klawisz uderzyć, gdy pałeczka na nutach jest na linii trzeciej lub piątej, albo pod drugą lub czwartą. Praca, żelazna wytrwałość, wyrobią tam sztukę, ale nie szukaj obok niej boskiego natchnienia, tego ognia który się tylko namaszczonym udziela; — klepanina będzie zawsze klepaniną.

Osób, którym rzeczywiście prawdziwy talent dostał się w udziale, bardzo nie wiele. Zaledwie kilka nazwisk otoczonych europejską sławą, i kilka cichych nie szukających jej za granicami kraju, jaśnieje na naszym horyzoncie, reszta to rzemieślnicy żyjący tylko z rzemiosła. Zaledwie dwie lub trzy amatorek stoi u szczytu muzykalnej świątyni, — reszta drze się do niej od lat dziecinnych aż do siwego włosa, wśród jęku biednych fortepianów, i gorących modłów matek, ciotek, stryjów, stryjenek i t. d. i t. d.

Zkąd to pochodzi — łatwo odgadnąć. Matki, ciotki, stryjenki wiedzą, że muzyka komuś i kiedyś utorowała drogę do sławy; czytają i słyszą

że niektóre nasze znakomite pianistki i śpiewaczki, a szczególniej prawdziwa chluba Warszawy, panna Zofja M. która zachwyca, zdumiewa wszystkich czuciem i potęgą swojej gry, tak dalece, że nie tylko u nas ale i zagranicą ludzie oczarowani jej talentem niosą jej hołdy uwielbienia; albo pani R. która siłą i wyrobieniem swego głosu zdobywa sobie ciągłe tryumfy; że mówię, te gwiazdy naszego muzykalnego świata, jaśnieją daleko sięgającym blaskiem. Jakże tu więc nie zapragnąć aby i inne Zofje, Marye, Julye Karoliny i t. d. nie dosięgły choć promyka takiej sławy. Zapragnąwszy, jakże nie wydać choćby ostatniego dukata na najlepszego nauczyciela, jakże nie kupić choćby za ostatni fundusz fortepianu Erarda lub Plejela. Tymczasem ani dukatowy nauczyciel ani Erard lub Plejel, nie mogą dać tego, czego natura nie dała. Następują zmiany, potem skargi i żale i kończy się najczęściej epilogiem zakrawającym cokolwiek na odpowiedź osła, który zapytany w bajce, dlaczego nic nie umie, rzekł:

Ja zdolności do nauk miałem bardzo wiele,
Ale cóż—nie umieli nic nauczyciele.

A co to przytem wszystkiem zazdrości, co pretensyi, co miłości własnej, to trudno sobie wyobrazić. Każda taka wymęczona artystka, byle tylko umiała zagrać znośnie jakieś waryacye Verdego, Aubera lub Thalberga, zaśpiewać jakąś aryjkę, już sięga po najwyższy listek wawrzynu, już chce być wysławianą po dziennikach, rozrywaną na wszystkie koncerta, głoszoną na raz stu językami. Odmów jéj oklasku, czołobitności, a jeszcze broń Boże powiedz prawdę, pochwal w jéj obecności kogo innego, toś już znienawidzony na całe życie, toś oszczerca, potwarca nie godzien że cię święta ziemia znosi i żywi.

Drażliwość ta osób muzykalnych tworzy rozmaite koterye, osobne kółka otaczające jakąś *niby gwiazdę* muzykalną. Za obrębem tych kółek, tych koteryi, o gwiaździe ani wiedzą—w obrębie, mają ją za planetę.

Młoda Warszawianka, może nie znać zupełnie robót kobiecych, może nie umieć chusteczki obrąbić, nie wiedzieć jak się kartofle gotują,—ale musi koniecznie klepać jakieś wielkie sztuki na fortepianie, albo wywodzić arye ze starych oper.

Rzemieślniczki, przekupki, straganiarki, które same wzrosły i wychowały się w domach zajętych skrzętną pracą, byle tylko pan Bóg dał im córki, a oszczędność zgromadziła jaki taki zapasik,—zaraz sprowadzają do domu fortepian, stawiają go obok warsztatów, kramików i zydelków, wyszukują dwuzłotowych metrów, i męczą biedne dziewczęta nad *gammami*, kiedy one ochotniej i korzystniej wzięłyby się do krosienek lub rądelków. Podobnie krzywych wyobrażeń o dobrem ukształceniu kobiet, nikt z nami nie dzieli. Wszędzie celem wychowania jest mniej więcej praktyczność, u nas nie możemy się jéj dopatrzeć w tej *quasi* muzykalności, albo w paplaninie po francuzku. Córka urzędnika, rzemieślnika, kupca jeżeli umie być rządną gosposią, jeżeli nie będzie potrzebowała wyręczać się szwaczką, lub haftarką, jeżeli własną rączką przyrządzi mężowi jakiś przysmaczek,—wszedłszy w rozleglejsze obowiązki, potrafi się do nich zastosować, nie będzie laleczką którą trzeba umyć, uczesać, ubrać, obszyć, obhaftować, nakarmić i w salonie na pokaz obsadzić, zapewni sobie szacunek męża i domo-

wników, spokojność i byt niezależny. Wykształcona *niby* w talentach w pierwszym roku po pójściu za mąż zapomni o nich zupełnie,—na klawiszach osiądzie pleśń, nuty z Meyerbeerem lub Donizettim myszy zjedzą, francuzczyzna zdziczeje w sferze heblów, i łokciów, a biedna *dobrze ułożona* jak ludzie mówią pani domu uczyć się musi dopiero tego, co już wchodząc w nowe obowiązki najdokładniéj umieć była powinna.

Gdyby rozum przemówił do przekonania matek, mielibyśmy co rok więcej daleko zapowiedzi, więcej zgodnych małżeństw, więcej gospodyń umiejących rachować się z dochodami, więcej żon nie ubiegających się za tryumfami salonowemi, więcej matek kształcących znowu na swoich wzorach córki,— a *mniéj fortepianów*, które nieraz kością w gardle stoją spokojnym lokatorom, gdy im i z góry i z dołu i z wszystkich boków zaczną klepać gammy i nadzwyczaj miłe dla ucha exercycye. Do porównania *tych więcéj* i tego *mniéj* nie potrzeba urodzić się Archimedesem.

Wielki post—to epoka koncertów amatorskich, poranków i wieczorów muzykalnych, tercetów i

kwartetów familijnych. Niektóre rzeczywiście odznaczają się znajomością rzeczy i dobrym gustem, — na innych, a takich jest daleko więcej, koniecznie ujrzeć musisz żabki, wystawiające zgrabne i niezgrabne łapki do okucia. Trudno — wszedłeś tam musisz chwalić i klaskać, — bo inaczej gotowi by cię jak profana za drzwi wyprosić.

Gdy nadchodzi wielki tydzień, świat muzykalny zwykle w wielkim jest ruchu. Trwa zwyczaj że w niektórych kościołach Warszawskich amatorzy i amatorki w wielki piątek wykonywają żałobne dzieła muzyczne, jak np. Siedm słów Mercadantego i t. p. Warszawie łatwo to przychodzi, bo najprzód dość jest osób muzykalnych, a powtóre nikt się nie wymówi od udziału w przedsięwzięciu z tak pięknym celem połączonem. Najlepiej wykonywane bywają podobne dzieła muzyczne w kościele księży Pijarów i w kościele księży Karmelitów na Krakowskiem-Przedmieściu.

Począwszy od kwietniej niedzieli, która przystraja Warszawę w ogrody palm, — inny ruch zaczyna się objawiać. W wystawach i oknach cukierniów pojawiają się szerokie ciężkie i bogato

strojne baby, suto przybrane placki i mazurki, a plac za żelazną bramą uzbraja się miljonowemi piramidami jaj, tysiącami indyków, prosiąt, szynek, kiełbas, ocukrzonych i kwiatami ustrojonych głów wieprzowych i t. p. Zwyczaj zastawiania święconego, spuścizna przeszłości, przechowuje się święcie w domach, które umieją oceniać ważność podobnych spadków. Biedny wyrobnik cały post żyje chlebem i wodą, a za oszczędzony grosz, kupuje smaczniejsze i pożywniejsze rzeczy, aby święta Zmartwychwstania Pańskiego wesoło i w lepszym bycie przepędzał. Magnat zastawia stoły wspaniałemi przyborami, aby podzielał się dostatkiem z temi, którzy nie mają środków do podobnie wspaniałego życia. Od kilku lat domy otwierające chętnie swoje podwoje nowatorstwu, zarzucają ten jak powiadają *zwyczaj pasibrzuchów*, i dnie świąteczne niwelują z innemi zwyczajnemi dniami. Wprawdzie takich domów jest bardzo mało i przykład przez nich dawany zupełnie nie wchodzi w modę,—jednakże i takie domy należy oświecić że to nie jest zwyczaj pasibrzuchów.

Religijność naszych ojców naprowadziła ich na myśl że święta tak wielkie jak Zmartwychwstania Pańskiego należy obchodzić uroczyście. Gościnność sławiańska zasadzała obchód uroczysty na ugoszczeniu wszystkich, a przykazanie kościelne każe dzień święty święcić. Przyrządzając w dzień tak wielkiego święta jadła i napoje,—potrzeba było zatrudniać służących i samym się około tego krzątać, – zaradzono więc temu przygotowując wszystko w dnie poprzedzające Wielkanoc i ztąd poszedł zwyczaj zastawiania święconego.

Przodkowie nasi tak dalece go szanowali, że przez całe święta w ich kuchniach nie postał ogień na kominach, teraz pozwalają już sobie, nawet w domach żyjących w zgodzie z przeszłością, podawania potraw na gorąco. Źle to jest—bo nie świętują wszyscy, a grzeszą właśnie ci co robić każą; ale nie ci co robią.

Dobroczynność jest także jedną z takich głównych przymiotów Warszawian, jak zachowywanie obrzędów religijnych. Nie było przykładu aby nie powiodło się jakie przedsięwzięcie połączone z celem dobroczynnym. Każdy wedle możności, a czasem

i nad możność niesie ofiary,—czy z serca, to tylko Bogu wiadomo, ale zawsze niesie. W ciągu wielkiego postu odbywają się zwykle kwesty po domach. Probowano zastąpić kwesty dopełniane przez osoby znakomite stopniami towarzyskiemi, kwestami za pomocą rządców każdego domu,—skutek okazał, że zmiana ta przyniosła wielką różnicę w cyfrze ofiar; zwrócono się więc napowrót do szlachetnych dam, które jak najchętniej wzięły znowu do rąk puszki kwestarek. Znowu delikatne ich nóżki spotkały się i ze schodami strzeżonemi przez szwajcarów i z wązkiemi galeryami, drugo i trzecio-piętrowych mieszkań,—znowu oczy zetknęły się i z dostatkiem i z nędzą. Korzyść to wielka dla obydwóch stron i daj Boże, aby znów jaki pański grymas nie stanął na drodze najlepszych chęci i najlepszych celów.

W ostatnim tygodniu Dyrekcya Teatrów daje w obydwóch teatrach widowiska na korzyść ubogich pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności zostających,—a wreszcie w wielki piątek uproszone damy zasiadają w kościołach przy tacach, na których każdy z odwiedzających

grób Zbawiciela; powinien złożyć ofiarę dla biedniejszych swych braci w ludzkości. Cel piękny, poświęcenie się dam godne wdzięczności, ale i tu gdyby nie próżność i miłość własna, skutek nie byłby odpowiedni. Im która z dam kwestujących żyje w rozleglejszym świecie, im ma więcej znakomitych stosunków, tem pewniej liczyć można na cyfrę kwesty. Każdy w przed-dzień wielkiego piątku czyta skwapliwie Kuryera z listą dam kwestujących i zapisując sobie w pamięci znane nazwiska mówi do siebie:

— Tu dam dukata—tam pół-imperyała, a gdzie indziej nie pójdę.

Broń Boże położyć złotówkę, dziesiątkę w miarę możności,—fałszywy wstyd nie pozwala,—lepiej ominąć korytarzem kwestarki, albo nie pójść wcale do kościoła,—bo jakże dać się poznać z tak słabej strony, że się nie może rzucać dukatami i pół-imperyałami.

Mogących dogadzać miłości własnej jest co najwyżej tysiąc,— a takich którym fałszywy wstyd przeszkadza przyjść z pomocą ludzkości jest najmniej czterdzieści tysięcy,—obrachujmyż więc

jak wielką szkodę wyrządza biednym ten potwór fałszywy wstyd, dziwnie zrozumiany; a jak polip szeroko bardzo rozkrzewiony.

W wielki piątek po południu cała ludność katolicka Warszawy lawą przepływa z kościoła do kościoła odwiedzając groby Chrystusa Pana, wspaniale we wszystkich kościołach przybrane. Szczególniej pięknie urządzone bywają groby w kościołach K.K. Kapucynów, K.K. Dominikanów, KK. Bernardynów, Panien Wizytek, u Fary, u ś-go Krzyża i tam też najliczniejsze massy publiczności spotkać można. W sobotę ceremonia umywania nóg dwunastu ubogim dopełniana przez Arcy-pasterza Warszawskiego Duchowieństwa zgromadza do fary liczną publiczność,—a po południu we wszystkich domach gosposie zastawiają stoły tryumfami swojej i nie swojej pracy. Ciastami, wędlinami, pieczywami, gotowanemi jajami, napojami i t. d., między któremi pierwsze miejsce trzyma baranek z chorągiewką jako symbol nastąpić mającej uroczystości. Około godziny 3-ciej po południu z wszystkich klasztorów wychodzą zakonnicy i przebiegając ulice wcho-

dzą do wszystkich mieszkań, gdzie są wezwani pobłogosławić modlitwą i wodą święconą dary Boże, aby wesoło i bez szkody na zdrowiu były spożyte.

Wszystko co powiedziałem dotąd o religijności Warszawian, spostrzedz się daje tylko temu, kto wejdzie do kościołów lub jest uczestnikiem obrzędów, ale ty spekulacyjny wiedeńczyku, albo ty żałujący poświęcić Bogu kilka wolnych chwil paryżaninie, przejdź się po Warszawie w pierwszy dzień świąt Zmartwychwstania Pańskiego. Na ulicach cisza zupełna, wszystkie bez wyjątku sklepy, cukiernie, kawiarnie, szynki zamknięte,— żadnej doróżki, żadnego powozu nie spotkasz. Wszyscy bogaci i ubodzy, panowie i słudzy, dążą piechotą środkiem ulic do kościołów, pomodlić się najprzód Bogu a potem wrócić do domów, i z rodziną i z czeladką podzielić się święconem jajkiem. Policya mały ma udział w tej ogólnej uroczystej świątecznej ciszy,—każdy mniej więcej idzie za popędem uczuć które mu takim być nakazują.

Ale Wielkanoc nie należy już do postu, — a

na wstępie zamierzyłem przedstawić Wam czytelnicy tylko niektóre rysy wielko-postnej fizognomii Warszawy, — składam więc na jakiś czas pióro ryso-pisa, a wracam do pojedyńczych obrazów ciążących mi jeszcze na sercu.

---

na wstępie zamierzyłem przedstawić Wam czytelnicy tylko niektóre rysy wielko-postnej fizyognomii Warszawy, — składam więc na jakiś czas pióro ryso-pisa, a wracam do pojedyńczych obrazów ciążących mi jeszcze na sercu.

DJABEŁ W DOMU.

Poczciwa żona, raj stworzy ci na ziemi,— zła, chcesz czy nie chcesz, do piekła cię zawiedzie. *Sł. Grochowski.*

I.

Pan Julian, syn najpoczciwszych rodziców, osiadłych w Lubelskiem, ukończywszy chlubnie szkoły, z patentami i nagrodami, przybył do Warszawy i przy protekcyi jednego z najznakomitszych obywateli gubernii lubelskiej, w któremu go dobrach ojciec jego trzymał dzierżawę, umieścił się w jednem z biur tutejszych. Początki dla każdego bywają trudne; ale że pan Julian był chłopiec zdolny, przyzwoity, poczciwy i pilny, więc z łatwością zwrócił na siebie uwa-

gę zwierzchników. Zawakował pierwszy etacik, pan Julian go dostał, z wielkiem zgorszeniem kolegów, którzy od lat siedmiu, ośmiu, a nawet i dziesięciu, byli na liście aplikantów, ale przychodzili do biura dwa razy na tydzień, około południa, poprawić parę piór, pogadać z kolegami o wczorajszem dziesięć bez-atu, albo o zgrabnych nóżkach jakiéj ściganéj piękności, mówiąc do siebie *jak płacą, tak niech mają.* Nie powtórzyli jednak sobie: *że tak mają jak robią,* gdy pan Julian ich przeskoczył i byliby gotowi kamieniami go zarzucić, gdyby pan Julian z wrodzoną sobie otwartością podawszy każdemu rękę, nie powiedział:

— Wiecie, że nie kłaniałem się, nie prosiłem, nie szukałem protekcyi, nie uciekałem się do intryg—dali – Bóg im zapłać—a wy nie miejcie na mnie złéj woli.

Takim samym sposobem, pan Julian w rok postąpił na wyższą pensyą, a w pięć lat od wejścia do biura, otrzymał nominacyą na referenta z pensyą 600 rsr., szczycąc się ciągle przyjaźnią więk-

szej części kolegów, szacunkiem niższych, a ufnością zwierzchników.

Najważniejsze, najdrażliwsze interesa, powierzano mu bez obawy, bo wiedziano, że w ciągu jego zawodu biurowego, nie przylgnął do jego ręki ani jeden rubel, któregoby nie mógł jawnie przed światem pokazać; że nie zjadł ani jednego śniadania, na rachunek łaskawego odrabiania krzywych interesów; że nie wypił ani jednej butelki wina, która nieraz łzami zaleje tych, co nie mogli podobnej komuś postawić. Młodzież kochała go serdecznie za ten hart duszy i serca, a niektórzy panowie koledzy zwali głupcem, nie umiejącym korzystać z okoliczności, i umyślnie podsuwali mu różne pokusy, brzęczące i żywe, świecące i smakujące, aby go do swego cechu zapisać.

Pan Julian umiał zawsze wywinąć się z nastawionych siatek, gładko, zręcznie, bez niczyjej obrazy, nawet nie dając poznać swojej w tym względzie wyższości, i choć czuł dobrze, że postępowania takich panów ściągają na cały ogół

nienajkorzystniejszą i utrwalającą się coraz bardziej opinią, robił swoje, szedł stale raz obraną drogą, mówiąc sobie, że on nie bocian i że nie jego powołaniem świat czyścić.

Jak w życiu biurowem, tak i w życiu towarzyskiem, był pan Julian wzorem prawości, przyzwoitości i rozsądku. Mieszkał na Kanonii w dwóch ślicznych pokoikach, mających okna na Wisłę, a choć mówiono mu, że pokoiki za szczupłe, że schody niewygodne, on odpowiadał:—tak krawiec kraje, jak materyi staje, i nie myślał o opuszczeniu cichego i ulubionego ustronia. Pierwszy pokoik, wyklejony zielonem obiciem, był razem przedpokojem i mieszkaniem służącego, pomimo to jednak, przejrzeć się można było w dębowych, na czarno bejcowanych mebelkach, w sprzętach ustawionych symetrycznie w kredensie. Drugi wyklejony obiciem perłowem, w drobny niebieski rzucik, był jego sypialnią i pokojem bawialnym. Posadzka pokryta była cała orzechową ceratą, którą służący codziennie aż do przesady wilgotną szczotką oczyszczał, a jesionowe biórko, komódka, łóżko, stoły i stołki,

wabiły pozorem i szykownością. Na ścianach nie ujrzałeś malowideł i sztychów, w których wyobraźnia malarza lub rysownika, pozwoliła sobie zadzierać z przyzwoitością, a które z urzędu zdobić muszą wszystkie kawalerskie mieszkania; ale za to na jednej ścianie wisiały wizerunki sławnych mężów, starannie choć bez świecideł oprawne, na drugiej śliczny obrazek, darowany mu na pamiątkę przez jednego z naszych młodych malarzy, przedstawiający krakowskiego chłopka przy konfessyonale, a nad łóżkiem umieszczony był czarny hebanowy krzyż, dany mu z błogosławieństwem przez ojca, kiedy pierwszy raz opuszczał dom rodziców, krzyż, który jeszcze jego dziadek w takim samym wypadku od swego ojca odebrał i który był z nim pod Somosierą i gdzieindziej. Nad krzyżem, prześliczny olejny obrazek Matki Bozkiej Częstochowskiej, przypominał panu Juljanowi pożegnalny uścisk matki i jej łzy z jakiemi oddawała go w opiekę tej cudownej patronce naszego kraju. Urządzenia pokoiku dopełniała mała biblioteczka z samych wyborowych dzieł złożona i flotrowers, na którym młodzieniec

w chwilach samotności posyłał tony swej duszy daleko, daleko nad zielone brzegi Tanwi, do drewnianego dworku, gdzie zostawił rodzinę, do której mimo wiru światowego w jaki się rzucił, mimo tylu przedmiotów nęcących wzrok i serce, zawsze tęsknił i wzdychał.

Człowiek z takiem sercem i z takim taktem, musiał wyrobić sobie szerokie koło w towarzystwie, do którego z początku dość nieśmiało wciskał się. Szybkie awanse, znakomita jak na młodego człowieka pensya, zaufanie zwierzchników, obróciły ku panu Juljanowi oczy wielu matek, mających córki na wydaniu. Roztwierano przed nim na oścież podwoje wielu bardzo salonów, a zaproszenia sypały się na wyścigi, tak dalece, że nieraz nie wystarczało panu Juljanowi godzin, aby łaskawym na siebie chęciom odpowiedział. Grzeczny, usłużny, uprzejmy dla wszystkich dam, nie spieszył się jednak pan Juljan z wyborem tej, którąby dalsze koleje jego życia podzieliła, gdyż nieraz w chwili, gdy ta lub owa twarzyczka silniej wyrysowała się w jego pamięci, jakiś dziwny dreszcz wstrząsał ciałem,

a przeczucie kazało jak najprędzej usuwać z pamięci te obrazy. Tak zeszło lat pięć lub sześć,— pan Juljan awansował w tym czasie na sześć tysięcy złotych pensyi, i już nie zapraszano, ale ciągnięto go za połę do domów, gdzie kwiatki warszawskie przekwitały w doniczkach, wyglądając napróżno amatora.

Pan Julian, szpak nielada, przypatrywał się tym wszystkim kwiatkom, chwalił, podziwiał, czasem nawet prawił komplementa, zakrawające niby na coś więcej, aniżeli na zwykłe salonowe grzeczności, ale odszedłszy, ani pomyślał, ażeby którą z tych doniczek, przenieść pod swój dach. Nie napróżno jednak starzy ludzie powiadają, że kosa trafić musi na kamień! Pan Juljan dopóty wywijał się z *pazurków miłości*, dopóki ona poznawszy figlarza, nie zmieniła bojowego szyku.

Do tego samego domu na Kanonii, sprowadziła się na pierwsze piętro rodzina jednego z wyższych urzędników sądowych. Mówię rodzina, ponieważ pan Benedykt, niby głowa tej rodziny, nie znaczył w domu nawet tyle, ile zero postawione z lewej strony jakiej liczby. Rodzina ta

składała się z pana Benedykta, jego żony, dwóch córek dorosłych, dwóch dorastających, syna aplikującego w Izbie Obrachunkowej i synka chodzącego do szkół.

Zmiana lokatorów, interesuje czasem tych, którzy przyrośli, że się tak wyrażę, do której, z kamienic. Człowiek, mieszkając przez jakiś czas w jednych murach, przywiązuje się do nich o tyle przynajmniej, o ile do murów przywiązać się można. Bywały przykłady, że więźniowie wychodząc ze swoich cel, z załzawionem okiem żegnali się ze ścianami, w których każdą cegiełkę policzyli, które słuchały ich żalów, ich marzeń, ich nadziei. Ale takich ludzi bardzo mało. Wioska, zaścianek, przysiołek, mają swoich serdecznych przyjaciół, którzy wykołysaną na ich ramionach głowę, radzi z ich objęć, kładą do grobu—w mieście zaledwie setny czulszem okiem patrzy na mury, w których ma schronienie reszta wita je bez radości, a żegna bez żalu. Można być pewnym, że chociażby najważniejsza historya wiązała się z przeszłością kamienicy, chociażby cegiełki z niej można rozbierać na

pamiątki, droższe od klejnotów, to jedna połowa lokatorów nie wie o tem wszystkiem, a druga połowa na to nie uważa. Pan Juljan jednakże był jednym z małej liczby tych lokatorów którzy nie są obojętni na losy dachu, który ich okrywa. Cieszył się, gdy gospodarz chwalił się przed nim, że ma porządnych lokatorów, że mu płacą regularnie komorne, że stróża nie budzą po północy, aby otwierał im drzwi, gdy wracają z hulanek, że częściej chodzą do kościołów, niżeli do kawiarni i bawaryi i t. d., i t. d. Otóż gdy dowiedział się, że pierwsze piętro zajęli nowi lokatorzy, wracając z biura, spojrzał ciekawie w okna pierwszego piętra—spojrzał i stanął—dobył zegarka jakby chciał przekonać się która godzina, zapiął guzik u rękawiczki, spojrzał na nagrobek umieszczony na zewnętrznych murach Fary, na który już tysiąc razy patrzył, i nie szedł do siebie na górę, jakby przytrzymany jakąś niewidzialną siłą, na wprost okien, po których miał odbyć tylko zwykły przegląd i nic więcej. Nie weźmiemy za złe panu Juljanowi, że w taki sposób sprezentował się nowym swoim sąsiadom,

gdy dowiemy się, że w oknie pierwszego piętra ukazała się twarzyczka z czarnemi oczyma, z pełnemi splotami kruczych włosów, z ustami, które możnaby porównać do korali, gdyby to porównanie nie było już strasznie zużyte, z brwiami jak dwa sznureczki jedwabne; — twarzyczka, której podobnej dotąd nie zdarzyło mu się widzieć, która odbiła się jednocześnie i w sercu i w duszy, i w pamięci.

Piękna nieznajoma nie usunęła się bynajmniej od okna, przed którym stanął zgrabny nieznajomy, ale i owszem drobniutką a ślicznych kształtów rączką poprawiła warkocz otaczający równiutkie i gładkie czoło i spojrzeniem oddała za spojrzenie.

Byliby nasi nieznajomi Bóg wie dokąd oddawali sobie w podobny sposób swoje długi, gdyby nie gospodarz, który zszedłszy niespodziewanie pana Juliana, podał mu rękę i zapytał:

— A cóż to, pan radca delegowany do ustanowienia podatku, że liczy okna w mojej kamienicy?

— Nie, bynajmniej, ale tak jakoś zmęczyłem

się idąc i stanąłem—odrzekł łapiąc się pan Julian, a potem dodał:—kto tu sprowadził się na pierwsze piętro.

Gospodarz był to sobie, jak mówią, człowiek Bogu ducha winien, nie domyślił się więc z tego zapytania i odpowiedział:

— A! tu, na pierwsze piętro, pan Benedykt X, urzędnik sądowy, ale ma podobno aż sześcioro dzieci! Strach, zniszczą mi mieszkanie.

— Dzieci podobno dorosłe.

— Troje starszych, a troje jeszcze w wieku najszkodliwszym dla mieszkań. On sam podobno nie zły człowiek, ale u nich *djabeł w domu*, baba rej wodzi, jegomości tylko nos widać z pod pantofla, a jejmość, mówią, jeszcze w strasznych krygach, choć ma już córki dorosłe i wcale *nie szpetne.*

Z całej tej rozmowy, wyraz *nie szpetne* najlepiej utkwił w pamięci pana Juliana; pogadał coś jeszcze ze staruszkiem o pogodzie, zażył tabaczki i poszedł do siebie. Przeszedłszy schody pierwszego piętra, tak się zmęczył, że musiał od-

cząc. Odpoczywając, patrzył na drzwi oddzielającego od owych ślicznych oczek, gdy nagle drzwi się uchyliły, pokazała się w nich ta sama główka z prześlicznemi warkoczami, a srebrny głosik zawołał: — Marysiu!

Pan Julian chciał się ukłonić, ale spostrzegł, że byłby głupstwo zrobił, drapnął więc na górę jak student, którego złapią przy szparce we drzwiach, podglądającego ubierające się siostrzyczki, ale ten dźwięczny głosik dobił go do reszty. Pootwierał okna, bo zdawało mu się, że w pokoikach za gorąco, kazał podać sobie limoniady i chodził wielkiemi krokami, zapomniawszy że godzina obiadowa mija. Świeże powietrze i limoniada, uspokoiły cokolwiek gorączkę; przebrał się i wyszedł na obiad, ale wychodząc, obejrzał się na okna pierwszego piętra trzy razy — nie ujrzał w nich przecie niestety obrazku, który wówczas nad wszelkie arcydzieła sztuki byłby przełożył. Jeszcze w tym samym tygodniu, pan Julian poznał się ze swemi sąsiadami, a jak tylko urządził się w nowo zajętem mieszkaniu, oddał mi wizytę.

Z początku nie podobały mu się niektóre rzeczy. Znalazł pana Benedykta zbyt dobrym, zbyt rozlazłym, a panią Benedyktową zbyt energiczną, zbyt pretensyonalną. Urządzenie domu wydało mu się nieco przesadzone, nieco zabogate w stosunku do dochodów; ubior samej pani a nawet i panienek, nieco za strojny, za kosztowny; ale wszystkie te cienie, ustąpiły przed blaskiem oczek panny Melanii przed dziwną słodyczą jéj głosu.

Cóż ztąd, że matka trochę za wiele ma pretensyi, a woli za dwie osoby; przecież ja z matką żyć nie będę—mówił do siebie pan Julian, w chwilach passowania się rozsądku z miłością. Rozsądek stawiał mu przed oczyma wszystkie spostrzeżone i posłyszane wady osób, z któremi miał związać losy swojej przyszłości, a miłość szepnęła tylko słówko i stawało się zawsze tak, jak powiedział jeden z wierszopisów:

Rozum i serce dwa wrogi,
Na straszny bój się wyzwali,
Wtém weszła Basia do sali;
I rozum w nogi!

Poczciwy syn pojechał do rodziców zwierzyć im swoje troski i nadzieje, sprowadził ich do

Warszawy, zapoznał z domem państwa Benedyktów i prosił o radę, o wskazówkę, jak ma postąpić.

Ojciec urodzony i wychowany na wsi, nie znał zupełnie miasta i jego obyczajów. Pan Benedykt ujął go swoją uniżonością, a pani Benedyktowa słodkiemi grzecznościami. Wystawne życie wziął za dowód zamożności, a pretensye za dworskość którą za młodych czasów widywał na dworze ś. p. wojewody lubelskiego—powiedział więc:

— Synu, ja nic nie mam przeciwko tym ludziom, a ty radź się swego serca.

Matka rządząc się więcej instynktem macierzyńskim aniżeli trafnością sądu, po pierwszej wizycie nic nie powiedziała, ale poszła do kościoła ś-go Ducha, klęcząc wysłuchała mszy świętej przed obrazem Matki Bozkiej Częstochowskiej i wróciwszy rzekła:

— Julku, ja nie znam waszego świata, ale słyszałam, że tu u was w Warszawie nie wszystko prawda co się widzi i słyszy. Państwo Benedyktowie ludzie grzeczni, zdaje się że zamożni panienka ładna i miła, a jednakże Julku, moje

serce drży na samą myśl, że ty masz się z niemi połączyć. Prosiłam Matki Najświętszej, aby mnie oświeciła, aby mi dodała siły powiedzieć ci co czuję. Nie wiem, czy prośba moja wysłuchana, ale mi lżej przyszło zasmucić cię. Jednakowoż mój Julku, nie wiążę cię memi słowami, tyś już człowiek ukształcony, ty masz rozum i zastanowienie, zrób jak one ci podyktują, a ja z macierzyńskiem sercem uścisnę moją synowę i kochać ją będę tak jak ciebie.

Pan Julian uściskał ręce dobrej matki i już się zachwiał w postanowieniu, gdy idąc do biura wstąpił do kościoła Kapucynów i przechodząc kurytarzem po prawej stronie, spostrzegł Melanią klęczącą na stopniach ołtarza. Modliła się tak gorąco, tak żywo, że pan Julian nie mógł oderwać od niej spojrzenia; a gdy dojrzał, że poniosła chusteczkę do oczu, gdy spostrzegł, że ta chusteczka była na pół łzami zmoczona, wybiegł jak oparzony z kościoła, i opowiedziawszy wszystko rodzicom, tego samego wieczora oświadczył się urzędownie o rękę panny Melanii.

Za parę mięsięcy nastąpił ślub i pan Julian

z żalem opuścił ciche swoje schronienie na Kanonii, przenosząc się do ślicznie urządzonego mieszkania przy jednej z bocznych ulic, składającego się z czterech pokoi z salonikiem, gdyż taki rozkład mieszkania, przyszła jego żona uznała za konieczny.

Kiedy wyniesiono resztę rzeczy z mieszkania na Kanonii, pan Julian otworzył okno, popatrzył na Wisłę, na szeroką okolicę, przypomniał sobie wszystkie godziny szczęścia, zadowolenia, marzeń i nadziei, które mu w tych murach ubiegły, i zapłakał. Czy to było tylko dziecinne (tak jak sobie wyrozumował) przywyknienie— zobaczymy.

II.

Z dozwoloną kodexem pisarskim łatwością przenieśmy się o cztery lat później do mieszkania państwa Julianów, ale już nie do tego, które zaraz po ślubie zajęli, ale do wspaniale urządzonego appartamentu przy ulicy Senatorskiéj, składającego się z sześciu pokoi, z oddzielnemi i oszklonemi schodami.

Pan Julian chodzi wielkiemi krokami po swo-

im gabinecie, zastawionym palisandrami, bronzami, zarzuconym zwierciadłami, obrazami, świecidłami; ale na jego twarzy ponurej i smutnej, nie widać już tego spokoju, który dawniej każdy ruch tej twarzy opromieniał: bo swoboda i spokój uleciały z łona mniemanego dostatku bo zbytek przywiódł za sobą troski i niepokoje, bo ludzie znów mówią, że u niego *djabeł w domu*.

Wszedł lokaj w liberyi i zaanonsował.

— Pan Warthanes.

— Powiedz, żem wyszedł do biura.

— Kiedy on w bramie pytał się stróża i stróż mu powiedział, że pan jest.

— Powiedz, żem chory.

— Nie uwierzy, bo stoi w kapeluszu i strasznie głośno gada.

Pan Julian siadł przy biurku, napisał kilka słów i oddając kartkę lokajowi rzekł:

— Powiedz, niech jutro przyjdzie, a wszystko się skończy.

Kiedy drzwi się nie otwierały, pan Julian odetchnął swobodniej, przeszedł się parę razy

i chciał już wyjść, gdy lokaj znowu drzwi otworzył.

Pan Odrobina chce się z panem widzieć.

— Raz już powiedziałem, że mnie niema.

Po dobrym kwadransie, lokaj znowu wysadził głowę.

— Przyszedł jakiś żyd i mówi, że ma pilny interes do pana.

— Jaki interes.

— Nie wiem, ale mówi, że bardzo pilny.

— Puść go. I pan Julian usiadł przy biurku.

Wszedł izraelita w czarnym najświeższego kroju tużurku, w wysokich kołnierzykach, z pękiem breloków przy ciężkim złotym łańcuszku, i ukłoniwszy się nizko rzekł:

— Niech wielmożny pan radca przebaczy, ale ja o tego wczorajszego interesów...

— Powiedziałem przecież, że to być nie może: takie interesa nie uchodzą płazem.

— Wielmożny pan radca nie byłby stratny, ja sam 300 rubelków zaraz daję: oto jest...

Pan Julian zerwał się na nogi, ścisnął pięści,

uderzył niemi w blat biurka, aż żyd o parę sążni odskoczył.

— Nu! co tu się gniewacz, nie, to nie.

Pan Julian usiadł, oparł głowę na ręku i w głębokie pogrążył się dumanie. Żyd, znawca serca ludzkiego, położył mu na biurku trzy papierki sto-rublowe i stał przy progu, czekając końca tej wewnętrznej walki.

Pan Julian zbladł jak trup, wyciągnął rękę, schował trzy papierki do biurka i nie obracając się rzekł:

— Jutro przyjdziesz do biura po decyzyą.

Żyd ukłonił się i wyszedł, a pan Julian zerwał się, skoczył do szafki, otworzył ją z gorączkowym pośpiechem, obejrzał się, czy kto na niego nie patrzy i pociągnął sporą porcję *Goldwaseru*.

Na bladą przed chwilą twarz, wyskoczył rumieniec, oczy zapłonęły sztucznym ogniem.

Usiadł znowu przy biurku, dobył jakąś książkę in folio w zielonej oprawie, otworzył, pokiwał smutnie głową, wziął pióro do ręki, pomyślał chwilę i pisał:

,,Środa 17 stycznia. Biada! biada temu, kto wyciągnie rękę po pierwszy dług. Ręka która

podpisuje pierwszy wexel, bodajby lepiéj wiecznem kalectwem dotkniętą była. Pierwszy dług, pierwszy wexel, to więcéj jak kalectwo, to śmierć moralna. Ja to wiem, ja to czuję, a jednak... *O! bo ja ją tak kocham*, nie umiem jej nic odmówić, lękam się skutków innego obejścia. A matka! matka,—ona by zaraz wykrzyknęła przed całym światem, że zabijam jej dziecko, że jestem najnieznośniejszym tyranem. Boże! Boże! do czego to mnie doprowadzi?... Doprowadziło mnie już do hańby. Pierwszy raz w życiu wyciągnąłem rękę po pieniądz, kosztem sumienia i honoru nabyty. Wziąłem go, schowałem, a jednak on pali moje piersi, rozsadza głowę. Wziąłem go, bo jutro przyjdzie obrzydły lichwiarz po ratę wexlowego długu, bo drugi nie zamyka drzwi, upominając się o kilkaset złotych, niby po przyjacielsku pożyczonych. Boże! wesprzyj mnie, daj, abym wybrnął z tych nieszczęśliwych długów, natchnij ją większą względnością na moje położenie, bo drżę na samą myśl, co będzie daléj. Hańba! hańba! a jam mąż i ojciec?! Wielki Boże! pomocy i opieki!"

Zamknął książkę, schował do biurka, znowu chodził po pokoju, i znowu zajrzał do szafki gdzie stała butelka z *Goldwaserem*.

Gdy nieszczęśliwy pan Julian pasuje się w podobny sposób z pierwszym wyrzutem sumienia, z okropnemi myślami i znamiętnością; — przejdźmy na drugą stronę do pokoju pani Julianowej.

Byliście kiedy czytelnicy w budoarze światowéj, pretensyonalnéj kobiety? Uważaliście jak tam wszystko tchnie nią samą, odbija główną kierowniczą myśl? Patrzcie, tualeta sprzęt najpierwszy, na niej zwierciadło w srebrnych ramach, a obok zwierciadła flaszki, flaszeczki, słoiczki, flakony, że nie w jednej prowincyjonalnéj aptece mniejby się podobnych rzeczy znalazło. Na każdej wyzłocona, ukolorowana etykieta, objaśnia co, i do jakiego użytku służy, bo inaczej, trudnoby tam trafić do jakiego ładu. Z boku kozetka na sprężynach i kółkach, a przed nią stoliczek misternej roboty, z koszem na bilety wizytowe i z małemi jego braciszkami, na kłębuszki i inne drobiazgi do robót potrzebne. Naprzeciw kozetki, wielkie zwierciadło w

palisandrowych ramach, umieszczono tak, aby siedząca na kozetce osoba, mogła widzieć się cała od czubka głowy aż do trzewiczka na drobnej nóżce. Dalej tu i owdzie fotele, fioletowym aksamitem obite, przesuwające się na kółkach lub kołyszące się na biegunach, dalej turecka sofa kobiercami okryta, dalej znowu zwierciadła, fotele i konsole, zapchane mnóstwem figurek i drobnych sprzęcików; dalej stoliczek z najświeższemi numerami wszelkich dzienników mód, jakie tylko w głośniejszych z gustu stolicach europejskich wychodzą; dalej małe pulpiciki z książkami i nutami; dalej rozmaite ozdoby z marmuru, alabastru i bronzu; dalej wielki portret pani domu, w wielkich złoconych ramach z zwierciadłem łamanem naprzeciw, aby piękne rysy odbijały się w tysiącznych kształtach; dalej już rzeczywiście nie wiem na co zwrócić uwagę, bo takie tam mnóstwo wszystkiego, taka rozmaitość we wszystkiem, że trudno posługiwać się samą tylko pamięcią.

W takim budoarze na kozetce, siedziała pani Julianowa w śnieżnej białości szlafroczku, ohafto-

wanym na wszystkie strony. Ranny, ślicznej formy czepeczek, okrywał jej bujne włosy, starannie już uczesane, a nóżki oparte od niechcenia na kanwowej poduszce, obute były w ponsowe, złotem i srebrem przerabiane pantofelki. Z drugiej strony stoliczka, w jednym z foteli, tonęła kobieta już nie młoda, ustrojona pretensyonalnie w kwiaty i ciężkie materye, z lokami uwijającemi się w około twarzy. Była to matka pani Julianowej.

— Przyszłam tu dowiedzieć się — mówiła matka — czy będziecie na balu w resursie.

— Będziemy, z pewnością będziemy.

— Ale jakże się ubierzesz *mój ptaszku:* morowa suknia jest już znana: byłaś w niej dwa razy. Niebieskiej nie bierz, bo ci w niej mój ptaszku nie do twarzy; weź licho kilkaset złotych a ubrać się bez gustu niepodobna. Szamoa bardzo powszechna, niczem się nie odróżnia, a trzeba mój ptaszku strzedz się takich zwykłych kolorów, co to niczem się nie odróżniają. Ja tu wczoraj upatrzyłam u Szlenkera cudny adamaszek w pasy, przyniosłam ci próbkę, obacz i kup zaraz, bo

wiesz mój ptaszku, że piękne rzeczy u Szlenkera nie doleżą.

— Ach prześliczny, prześliczny, właśnie do mojej twarzy, do moich włosów, do mojej szmaragdowej broszy, do moich bransolet. Mamo! kochana mamo! dziękuję ci serdecznie; jakaś ty dobra, ja spać nie mogłam, przemyślając w czem ja będę w resursie.

— A na głowę co weźmiesz?

— Nie wiem. Ha! jużciż ten stroik z pereł.

— Fe! miałaś go już u pani prezesowej. Nie można, nie można mój ptaszku; powiedzieliby, że stroisz się jak mieszczka, zawsze w jeden kornet. U Adeli widziałam prześliczny stroik z piór; wczoraj przyszedł z Paryża: będzie ci w nim do twarzy.

— Obaczę.

— Licz na mój gust. Ale ptaszku, czy wy nie myślicie dać u siebie wieczoru; bywacie wszędzie, bawicie się doskonale, warto i do siebie sprosić, bo to zaraz źle widzą.

— O! i owszem, kochana mamo, myślimy i

bardzo myślimy; ale Julian mówi, że nie jest teraz przy pieniądzach.

— On zawsze tak mówi, ale ty na to mój ptaszku nie zważaj; jak będzie widział, że się go nie pytasz, to pięniądze znajdzie. Ale, ale, na śmierć zapomniałam zapytać się, jak też się ma Adaś?

— Nie bardzo dobrze. Doktór mówi, że wyiąże się odra. Nie wiem przy kim ja go zostawię gdy pojedziemy do resursy.

— Śmiej się z tego: odra, to słabość tak mała, że możesz być o niego najspokojniejszą. Zostaw go przy Marcinieckiej, każ obłożyć pierzynkami, napalić dobrze w piecu i kwita.

Gdy pani Benedyktowa domawiała tych słów, drzwi się z trzaskiem otworzyły i wszedł pan Julian z twarzą dziwnie jakoś wesołą, z oczyma niby szklannemi. Pocałował panią Benedyktowę w rękę i rzucił się na kozetkę obok żony, a objąwszy ją wpół, rzekł:

— Melciu! jak ja ciebie kocham!

Pani Julianowa wpatrzyła się w niezwyczajne

oblicze męża i sądząc, że musiało go spotkać jakieś niespodziewane szczęście, rzekła:

— Mężu! mnie trzeba pieniędzy.

Na ten wyraz, który jak iskra elektryczna, wstrząsnął całem ciałem, pan Julian zerwał się z kozetki, zaczepił o suknię pani Benedyktowej, udeptał ulubionego jej szpica i odrzekł:

— Pieniędzy!? Mówiłem, że nie mam pieniędzy.

— Co to nie mam. Co to pan będziesz tak grubijańsko odpowiadał żonie, co to pan będziesz potrącał rodzoną jej matkę!—wrzasnęła pani Benedyktowa. Nie dość, że ona oszczędzać się musi w najkonieczniejszych potrzebach, że stosuje się do grymasów pana i wystawia się na obmowy ludzkie, nie dając u siebie wieczorów, ale jeszcze chcesz, żeby łachmanami świeciła pomiędzy ludźmi. Ona jest najnieszczęśliwsza z kobiet. Czy to ją pan wprowadziłeś na bale do zamku, czy jej trzymasz powóz i konie, jak robi pan Franciszek, czy choć raz zawiozłeś ją choćby do Spa, do Karlsbad, do Dieppe, do Ostendy, hę! co? I jeszcze śmiesz mówić, że nie masz pieniędzy!

— To prawda, że ja jestem najnieszczęśliwsza! Znosić tylko ciągłe przymówki, ciągłe narzekania, podczas gdy inni mężowie uprzedzają chęci swych żon, to nad siły. Ja dłużej nie wytrzymam, bo moje zdrowie niknie; czuję już tu, tu, zarody okropnej słabości, skutki twego obchodzenia się. Ach! Boże, mój Boże!

I łzy, które elegantki mają zwykle pod ręką, oblały jej białą twarzyczkę.

Biedny pan Julian porwał się za głowę, pobiegł do siebie i wróciwszy, położył przed rozpaczającą żoną sto-rublowy papierek. Potem ukłonił się ceremonialnie pani Benedyktowej, spojrzał na żonę wzrokiem, w którym odmalowała się cała historya jego duszy i wyszedł.

Pani Julianowa otarła oczy i zadzwoniła na służącą, aby przyszła ją ubrać.

W godzinę tualeta była już skończona, a uśmiechająca się córka i zadowolona tryumfem matka, udały się do Szlenkera i Adeli, wymienić sto rubli, spokojem i sumienia zdobyte, na kilkanaście łokci adamaszku i kilka piórek.

Pan Julian tego samego dnia wyszedł jeszcze

na śniadanie z jednym z klientów i nadzwyczaj zasmakował w przedziwnym zieleniaczku z czarną pieczątką.

W kilka dni, pan Julian prosił kolegów na pogrzeb jedynego swego dziecka, małego Adasia, któremu służąca dała napić się zimnych ziółek, w czasie, gdy matka w nowej sukni i w nowym stroiku, tańczyła w Resursie polki i kontredanse.

Nieszczęśliwy ojciec nie mógł być na pogrzebie swego dziecięcia, zamknął sie w swoim pokoju i powiedział, że mocno chory.

Nazajutrz jednak poszedł do biura.

A dalej ?! Dalej co zaszło, czytelnicy sami w duszy swej dośpiewacby sobie mogli!

Pan Juljan brnąc coraz dalej w długi, nie mógł otrząsnąć się z chętki łatwego zaspokajania tych długów. Codzień więcej odbierał rannych wizyt w domu od brodatych i nie brodatych klientów, aż wreszcie przebrała się miarka. Zwierzchnicy nie wierzyli głuchym poszeptom, znając nieugięty dawniej charakter pana Juliana, ale wkrótce poszepty zmieniły się w fakta.

Zacierano i fakta, nie chcąc gubić nieszczęśliwego, grzeszącego tylko *powolnością dla zbytnicy*, ale coraz więcej tych faktów wyłaziło na wierzch. Wtedy niepodobna było dłużej tolerować zgorszenia, odebrano panu Julianowi wpływowy urząd, a dano mu taki, z którego jak to mówią, i na tabakę nie mógł mieć zysku. Dojęty tą publiczną hańbą, pan Julian rozpił się na piękne, zaczynał pić od rana, a kończył do poduszki. W chwilach, w których był przytomniejszy, szedł na Kanonię, siadał na progu domu, w którym tyle dni szczęścia i swobody mu upłynęło i płakał. Poczciwy gospodarz sądząc, że otarcie się o mury tyle mu drogie, zobojętni nałóg, dał mu bezpłatnie dawne mieszkanie, aby w nim kilka godzin dziennie przebywał; ale i to nic nie pomogło: namiętność straszliwie wzięła górę, i wkrótce widziano pana Juliana tułającego się po szynkach staromiejskich i pokazywano go sobie, jako widmo *zbytków i życia nad stan*.

Zaraz po odebraniu panu Julianowi intratnego urzędu, zacna małżonka widząc, że wierzyciele

grabią wszystkie sprzęty, które gust i próżność zgromadziły, że urywa się ostatnia deska, na której budowała nadzieje dotychczasowego życia, pod pozorem nałogu, jakiemu się oddawał pan Julian, rozłączyła się z nim i rozpoczęła proces rozwodowy. Ale że punktów do rozwodu nie było, a trafił się młody i przystojny panicz, który zaofiarował się ze swemi usługami i ze swoim majątkiem, więc nie było chwili do stracenia. Przyjęła tak zaszczytną propozycyą i oboje wyjechali zaraz za granicę, podobno do Szwajcaryi czy do Włoch, gdzie jak mówią, majętny panicz w nagrodę poświęcenia, kupił pani Julianowej śliczną villę, a po kikomiesięcznym z nią pobycie, wyjechał bez pożegnania, goniąc za jakąś nową zdobyczą.

Pani Benedyktowa dopóty trzymała za czuprynę poczciwego swego męża, dopóki nie wyrwał się jej i nie uciekł na Powązki. Wtedy *Zbytnica* ujrzałaby się była nagle w najokropniejszej nędzy, gdyby nie pomoc najstarszego syna, który ujàwszy najpierwszym swoim potrzebom, wziął ją do siebie z dwiema siostrami i naj-

młodszym bratem. Hulać nie było możności, powoli więc sprzedawały się brosze, bransolety, zegarki, aby było za co ukradkiem przed synem stroić młodsze córki i świecić niemi po alejach, ogrodach i ogródkach. Gdy kosztowności niestało i potrzeba było wyrzec się strojów, czuła matka wyprawiła najmłodszą córkę do pani Julianowej, aby wykształciła się na jej wzorach, a starszą wypchnęła prawie gwałtem za siedmdziesiecio-letniego starca, ex-magazyniera, który używał opinii milionera. Zaraz po ślubie przeniosła się do domu zięcia, aby dopomódz córce do zawojowania starego lisa. Obiedwie stroją się teraz bardzo wspaniale, jeżdżą karetami i dają wieczory. Jedni, którzy nie patrzą dalej, ***zazdroszczą im tego szczęścia***, a drudzy mówią, że ex-magazynier ma aż dwa ***djabły wdomu.***

Biedny pan Julian umarł niedawno na progu kamienicy na Kanonii. Nie było go za co pochować, ale koledzy złożyli pomiędzy sobą odpowiednią kwotę i uprosili przełożonego OO. Reformatów, że z całem zgromadzeniem zakonnem odprowadził na wieczny spoczynek zwłoki czło-

wieka, który byłby przebiegł z pożytkiem dla ludzkości zakres od Boga przeznaczony, gdyby fatalizm nie złączył jego losów, z plagą rodzaju ludzkiego, z kobietą *zbytnicą*.

FILARY SALONÓW.

Coby było wśród okresu,
Na który ludzie rzuceni,
Bez światła, ciełpa, magnesu
I elektrycznych promieni?
Coby było, zgadnąć łatwo.
Ciemno, głucho, chaos czyste.
Witaj więc, słoneczna dziatwo!

Szanowni czytelnicy, wy szczególniej, którzy razem z nami przeliczacie bruk ulic warszawskich, przywiedźcie sobie przed oczy historye wieczorów i wieczorków rozmaitej nazwy i znaczenia, tańcujących, muzykalnych, literackich, skromnych i głośnych, wesołych i nudnych, i przyznajcie, czy na każdym takim wieczorku nie widzieliście kilku, a przynajmniej dwóch, trzech *filarów salonowych*?

Już przeczuwamy, iż w prostocie ducha powiecie nam, że nie wszystkie salony mają filary, ależ raczcie zauważyć, że nie dajemy wam kursu architektonicznego, ale obrazek z żywych osób,—z osób które znacie tak dobrze, jak dziewięć muz zdobiących główne aleje Saskiego ogrodu, jak statuetki z waszego biórka, albo szwajcarów odmalowanych na szyldach niektórych ogródków warszawskich.

Astronomowie powiadają, że świat obraca się na swojej osi, — osiami na których obracają się małe światki warszawskie, są właśnie te filary salonowe. Jak świat by stanął lub pogrążył się w przepaść gdyby broń Boże owa oś się zepsuła, tak światki warszawskie w padłyby w taki chaos, w taki zamęt, że trudnoby ich było z tego rozpaczliwego położenia wydźwignąć, gdyby jakim nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, na jeden raz wszystkich filarów salonowych nie stało.

Przechodząc często Krakowskiem Przedmieściem, widzieliście zapewne, jak dwóch czy czterech saturnów dźwiga na swych barkach, cały ciężar jednego z pałaców warszawskich,—ta-

kimi saturnami unoszącymi na swych delikatnych ramionach ciężar wszystkich zabaw towarzyskich, są filary salonów. Oni układają plany tych zabaw, pośredniczą do ich zbierania się — przyjmują na siebie najtrudniejszą rolę: jeżeli jest wieczór tańcujący, wyrokują o urządzeniu salonu, o zamówieniu orkiestry, o liczbie świeczników, nawet o kolorze sukien danserek;—jeżeli wieczór muzykalny, pełnią obowiązki reżyserów; — sola, duety, tercety, kwartety—wszystko to ich pomysły,—a oni w każdej części przyjmują udział, z grającemi grają, ze śpiewającemi śpiewają;—jeżeli wieczór literacki, wybierają autorów, których można uszczęśliwić wezwaniem do odczytania swoich płodów, a na desser popisują się z własnym talentem deklamatorskim, lub z próbkami swoich prac, których dla tego drukiem nie ogłaszają, że jeszcze nie nadeszła pora, aby świat mógł czytać podobne arcydzieła; jeżeli wieczorek kończyć się ma na niewinnych rozrywkach, oni układają szarady z osób, projektują pytania i odpowiedzi wierszem, nawet w ślepéj babce rej wodzą, pozwalając sobie biegać z oczy-

ma tylko na honor zamkniętemi. Wszystkie gospodynie domów traktują z góry. Mówiąc do nich, zowią je zwykle po imionach mężów np. *słuchajno pani Adamowa — dasz nam wieczór pani Józefowa* i t. d., i t. d. Z młodemi mężatkami są ty a ty—*pani Zosiu*, *pani Justysiu*, *pani Julio* to ich codzienne tytuły. Z pannami nie robią sobie żadnej subiekcyi. Powiedzieć pannie — *a ty podpalona gąsko — a ty szara sikorko — a ty malowana różyczko*,—to u nich nic nie znaczy, to się liczy do zaszczytu, że raczą być poufałymi w rozmowie, że te młode kwiatki salonów, biorą już pod skrzydła wszechwładnéj swéj opieki. Oni wiedzą, że na nich gniewać się nie można,— chociażby przekroczyli wszystkie granice przyzwoitości. Gdyby nawet który z nich w obec całego zgromadzenia, raczył dopuścić się jakiego figlarnego żartu, albo mówił zbyt wyraźnemi dwu-znacznikami, — to i tak nic innego go nie czeka, jak tylko słodkie upomnienie, albo słodsza jeszcze groźba na nosku. Nie wiem czy uwierzą nam nasi czytelnicy, ale my zaręczamy słowem autorskiem, że widzieliśmy jednego z ta-

kich filarów w garderobie, ściskającego sznurówkę jednej z ubierających się młodych mężatek, a drugiego sznurującego atłasowy trzewiczek na nóżce siedmnastoletniej panienki. Przed niemi niema zamków i ryglów; odpędź ich ode-drzwi, wlizą oknem, zamknij okno, to sufit przebiją, a na swojem postawią. Oni są istotami bezpłciowemi, bo przed niemi nawet wstyd niewieści broń składa. Niema też tajemnicy, którąby się przed nimi ukryła — na palcach wiedzą ile razy która z żon zwiodła męża, ile która z panienek ma kochanków, w kim gustuje a kogo trzyma na sznureczku. Znają najdokładniej ile która z kobiet potrzebuje różu i blanszu, która czerni brwi i usta karminuje, — wtajemniczeni są we wszelkie sekreta tualetowe — radzą jak wysokie korki mają być u obcasików, — jak wiele i w których miejscach potrzeba dodatków do figury. Okiem znawców wyrokują w jakim kolorze komu do twarzy, znają wszystkie gatunki adamaszków, atłasów, materyj, tarlatanów, bengalów, — wiedzą jaki krój, jest najmodniejszy, doradzają ile dać falban, jakiemi wstążeczkami gors garnirować, jakim jedwabiem szyć

suknie. W konwersacyach z osobami muzykalnemi, mają zawsze odpowiedni zapas wiadomości o paniach i pannach grających i śpiewających.— Téj się zrobił jakiś *kogucik*, ta *beczała jak stłuczony garnek*, ta *waliła w fortepian jak w balię* i tysiące tysięcy podobnych wiadomości, ubranych waryacyami: to tak było *tra la la tam tam tam*!... W rozmowach z literatkami pełnią obowiązki krytyków z urzędu. Podług nich Korzeniowskiemu wyczerpała się teka, Kraszewski — buja po bezdrożach, Kaczkowski plecie dawne duby—a inni szczypty tabaki niewarci. Kobiety tylko powołane są teraz do nadania kierunku literaturze; z ich łona wynijść ma płomień, który ogarnie świat cały, wypali piaski Arabistanu, a lody mórz północnych roztopi. Rozczulone Korynny obdzielają tak wybornych znawców cząstkami tego płomienia, namaszczają ich na swoich kapłanów i wyprawiają w świat aby głosili przyjście nowéj ery!

Najswobodniejsi są jednakże filary salonowe w rozmowach z kobietami, które wyprzęgają się z jarzma narzuconego im przez jakieś staroda-

wne zwyczaje. Tu dopiero znajdują pole do popisania się ze wszystkiemi wiadomościami zebranemi na bruku, — wszystkie skandale wyższego i niższego tonu, buduarowe i uliczne, ścigają się ubrane w jaskrwawe kwiaty dowcipów, kalemburów, przechwałek i t. p. Znajdzie się tam i blado niewinny romansik pana Q z panią X, i głośna awantura jakiego utracyusza z baletniczką; a wszystko w takim tonie, takim językiem, jakiemi posługujemy się na naszych wesołych kawalerskich zebraniach, i w jakich Bogusławski pisze swoje dowcipno-tłuste komedye. Słyszeliśmy na własne uszy, jak jeden z takich filarów, opowiadał pewnej damie, toczący się wówczas szkaradny proces rozwodowy, ze wszystkiemi akcessoryami i skutkami, które zaledwie mąż żonie mógłby bez grzechu opowiadać. Po tych cechach, które przytoczyliśmy, łatwo rozpoznać w salonie, filary salonowe: — na ulicy filar nosi głowę w górę zadartą, idąc nuci sobie zazwyczaj jakieś tra-la-la, ręce trzyma w kieszeniach, albo zabawia je zgrabną trzcinką, patrzy zawsze prosto przed siebie, aby jak najmniej ludzi po-

znawać, bo pewny jest, że sami się do niego przyznają, witając się, podaje końce palców, a ujmując kapelusz wie już naprzód ile cali ma go podnieść. Zawsze jest strudzony, zmęczony, spracowany; jeżeli przysunie się do mezkiego towarzystwa, to pewnie do podobnych sobie filarów, lub do ludzi zajmujących znakomite w świecie stanowiska. Łącząc się z kobietami szuka zawsze, aby to były, albo głośne jakieś artystki albo literatki, albo okrzyczane na całą Warszawę piękności, — i choć jest w miejscach publicznych, prowadzi z niemi rozmowę zwykłym trybem i jak najgłośniej, aby wszyscy wiedzieli, *że mu to uchodzi.* — Ubiera się troskliwie, ale bez elegancyi właściwej studentom, którzy świeżo mundurek zrzucili, kapelusz u niego świeci nowością, ale nie uderza formą — kołnierzyki nosi wywinięte lub mało wystające, — tużurki lub paletoty nowego kroju, ale nie zbyt kuse i nie zbyt długie. Nadewszystko strzeże się pretensyi, aby nie myślano, że stara się komu przypodobać, gdyż on wie, że mu to nie potrzebne, że sami o jego względy starać się będą.

Jak z gąsienic tworzą się motyle, z osłów lamparty, z lampartów lwy, tak filary salonowe, tworzą się ze sprzętów salonowych. Najprzód taki jegomość musi być jakimś potrzebnym sprzęcikiem, np. danserem biorącym z powinności te panny, których nikt inny do tańca wziąść niechce, skromnym talencikiem nie mylącym się nigdy w chórach i doskonale akompaniującym na fortepianie, lektorem płynnie i gładko czytającym. Powoli — powoli ów sprzęcik staje się koniecznym sprzętem, aż wreszcie przeistacza się w filar. Jak pierwej sprzęcik ten, był prawie stołeczkiem, na którym opierano nogi, tak później stawszy się filarem, wynagradza to sobie zadzierając nos wyżej głowy. Sprzęcik był pozytewką, wygrywającą nakręcone kuranty — filar improwizuje na swoje temata, i rad słucha jak za nim jego tony, jego słowa, jego ruchy powtarzają.

Filary salonowe tém się jeszcze różnią od pospolitego tłumu, że się nigdy nie kochają i nigdy się nie żenią. Wszelka sentymentalność wykreślona jest raz na zawsze z ich słownika. Kochać

się, byłoby to się upokorzyć, a wszelkiego upokorzenia lękają się filary więcej jak grzechu śmiertelnego. Ich protektorskie serca tak są uorganizowane, że każda z panien, wdów i mężatek ma w nich swoją oddzielną kratkę, z matematyczną ścisłością odmierzoną. Kiedy są w towarzystwie tej panny, wdowy lub mężatki, kratka się odmyka i płyną z niej czasem słodkie, czasem serdeczne, a zawsze jak najśmielsze koncepta. Oddalą się — wchodzą w inne towarzystwo, już inne kratki są w ruchu, a pierwsza znów na czas jakiś jak najszczelniej zamyka się. Biada pannie która zajmie się filarem—czeka ją najokropniejsze rozczarowanie, bo w chwili, w której ona wyglądać będzie z jego ust oświadczenia miłości, on dobędzie zegarek, obliczy minuty i powie, że musi iść do państwa N. N. śpiewać duet z Purytanów. Czułe spojrzenia, westchnienia, żale, skargi, obiją się o stalowe piersi filarów, jak pociski o zbroje średniowiecznych rycerzy, i jeszcze wzdychające, płaczące istoty mogą być pewne, że filar wszedłszy w progi pierwszego lepszego domu, powie:

— Wyobraźcie sobie państwo! ta zaszlochana Doryda, gwałtem zakochała się we mnie. Rady sobie dać z nią nie mogę.

Bywają jednak wypadki, że i filary się żenią, lecz to tylko wtenczas gdy w wędrówkach swoich z salonu do salonu zaczepią o jaką skrzynię dobrze okutą i strasznie ciężką. Wtedy ofiara płaci się ofiarą, filar wyrzeka się swego wygodnego stanowiska, zaprzęga się w pług powinności małżeńskich, a uszczęśliwiona wyborem istota, składa u jego nóg zapis co najmniej 30,000 rsr. Filar wyprawia sute wesele, żegna się z kolegami i dostaje dymissyą z urzędu, z pozwoleniem noszenia munduru, to jest z zachowaniem do śmierci tytułu i zaszczytów.

Jak liczne są szeregi filarów, przekonać się każdy może, komu tylko nie są obce warszawskie towarzystwa. Już do bardzo biednych wieczorów policzyć można taki, gdzie się tylko jednego albo dwóch filarów spostrzeże; już to musi być dom schodzący z pola elegancyi, — gwiazda takiego domu bliską już jest zgaśnięcia. Natomiast w domach głośnych w Warszawie z zamiłowania

sztuk pięknych, z chęci do szumnych zabaw, a nawet ze zdatności kucharzy, rozminąć się nie można z filarami, — spieszą aby podtrzymać sławę tak gościnnego salonu, zapewnić go o swoich wysokich względach. Już tam wszystko musi się udać, wszystko musi być piękne, doskonałe, bo otoczone tak przeważną protekcyą, bo rozgłoszone już co najmniej pół tuzinem arcy wymównych w takich razach języków.

Ale zasługi filarów, nie kończą się na polu salonowém; filary są jeszcze z obowiązku protektorami wszelkich amatorskich koncertów, i najczęściéj osobiście w nich uczestniczą. Jak tylko pan ten lub ów, pani ta lub owa, poweźmie zamiar ułożenia amatorskiego koncertu, wtedy najprzód stara się najusilniéj przeciągnąć na swoją stronę jak największą liczbę filarów. Następują układy kto będzie śpiewał sola — kto należeć będzie do duetów, tercetów i kwartetów. Tu dopiero zaczyna się otwarte głosowanie; koterya filarów ma swoje protegowane talenta,—broń Boże odmówić któremu z tych talentów udziału w amatorskim koncercie, już cała rzesza tą odmową obrażona

już i pierwszy tenor kręci noskiem, i baryton zawraca ku drzwiom i bas bierze za czapkę. Rad nie rad musisz zgodzić się z wszechwładną wolą filarów, aby nie narazić się na ich niełaskę. Daléj idą próby. — Dalibóg wszyscy, którzy podejmują się zbierania amatorskich koncertów, po kilku takich koncertach, a rozumie się kilkudziesięciu próbach, mogą żywcem iść do nieba.—

Dzień na próbę oznaczony; potulne amatorki zebrały się wszystkie na oznaczoną godzinę — tenora albo barytona nie ma. W każdym lufciku ujrzeć możesz kilka główek wyglądających przybycia tak ważnej figury, tyle serc bije oczekiwaniem, obawą,— może nie przyjdzie, może zachorował, aż po dwóch godzinach od okna będącego na rogu, rozbiega się telegraficzna wiadomość, że idzie! Jedna rączka trzyma już za klamkę, druga przysuwa krzesło, trzecia niesie żółtka ubite z cukrem, wyborny specyfik na chrypkę. Wchodzi ów pożądany filar, dziesięć albo piętnaście głosów odzywa się — czemu — czemu?

— Czemu — czemu, — odpowiada zagadnięty, — a cóż to ja miałem wstać jak szewc war-

szawski równo ze świtem żeby wam dogodzić? Ja ledwie żyję o! patrzcie i litujcie się nademną! Wczoraj miałem dwa sola i trzy duety, — nie spałem do godziny drugiej i jestem tak strudzony, ze upadam —omdlewam.

— Ale pan tak ślicznie wyglądasz,—takiś rumiany—okrągły. Tualeta taka staranna, kołnierzyki tak pracowicie wywinięte?

— Zapewne—chciałybyście żebym wysechł na waszych usługach, stracił cerę, roztał się z apetytem, a wybyście dały mi potem na emeryturę kilka słodkich spojrzeń i parę litośnych słówek.— Ho! ho! ho! do tego nie przyjdzie. Aj! aj! jak mamę kocham—jaki ja jestem zmęczony,—ta piskla Maryna nie umiała wczoraj nic a nic, musiałem spiewać i za siebie i za nią, a ten wisus Krochmalik wył jak wilcy za górami. O— czy nie słyszycie jaką ja mam chrypkę— tra! la! la!

— Wybornie— ani śladu chrypki, ani śladu zmęczenia, nigdyś pan lepiej nie śpiewał.

— Zapewnie— takim próżniakom to wszystko zdawać się będzie wybornie—zaśpiewa raz

na tydzień i już koniec, a człowieka rozrywają z wieczoru na wieczór. Dziś, wyobraźcie sobie, mam śpiewać duet z Normy—kwartet z Purytanów, tercet z Marty.

— Gdzie? u kogo?

— Ho! ho! cóż to za pamięć? — a przecież dziś wtorek.—Wtorki na Nowym Świecie, w Alejach i na Orlej.... Ach! jak rodzonego papkę kocham, to nad siły.—Z końcem tego tygodnia myślę umrzeć, aby już więcej do koncertów amatorskich nie należyć.

— A jakże się tam u Radcostwa udało?

— Wybornie! doskonale! Przyszedłem o 11 a czekano na mnie z muzyką. Zaledwie wszedłem panny porwały mnie na ręce i zaniosły do fortepianu. Uu—jeszcze do dziś dnia czuje guzy na plecach, bo miały takie twarde ręczyska. Tylko co wyrwałem się z panieńskich objęć, gospodarz dźwiga półgarcowy kielich szampana, klęka przedemną i krzyczy: zdrowie naszego kochanego drogiego, wiwat! Patrzę aż tu po całéj sali pełno takich kielichów a wszyscy krzyczą wiwat! Aj—mało nie ogłuchłem od tego

krzyku. Zaledwie mogliśmy rozpocząć duet, — ta ruda *Cardovilka* nigdy dobrze śpiewać nie będzie, dała takiego *kogucika* że aż ha, — ale ja śpiewałem wybornie.

Hrabia X. uściskał mnie jak brata, książe Y. aż zapłakał z uciechy, a panny chciały znowu obnosić mnie w tryumfie po sali, ale nauczony doświadczeniem że umieją *tak strasznie ściskać*, wyprosiłem się od téj bolesnéj operacyi. Potem mieliśmy kwartet z Djabła. Nasz Don' Juan popisał się gracko, sam widziałem jak pani Onufrowa dziękując dygnęła mu trzynaście razy, — a jej córunia, ta nowa Heloiza, idąc do kolacyi pocałowała go z radości.

— Przesadasz Pan — przesadzasz, — ozwały się liczne głosy.

— Cóż tak dziwnego? czyż nasze poświęcenia niewarte całusa umalowanych usteczek takiej Heloizy? he co? My uradziliśmy teraz kroku nigdzie nie stąpić, dopóki wprzód nie zrobią z nami kontraktu, a kotrakt będzie taki: Pan N. N. obowiązuje się śpiewać to i to, gładko, pięknie. Panna N. N. obowiązuje się pocałować go za to

pięć razy. Panna N. N. trzy razy, a Panna N. N. raz. Zastrzega się że usta tych Pań nie mogą być karminowane i pomadkowane. A co? przecież będzie dla nas jakie takie honoraryum. Ja już od dziś zaczynam zawierać kontrakty, i ani się ruszę, ani jednéj nuty nie wezmę, dopóki nie przystąpicie ze mną do ugody. Czarna Kostusia pocałuje mnie sześć razy, przepióreczka dwa razy, a kwoczka raz; - no, czy zgoda?

Panny obróciły w śmiech tę niby śmieszną propozycyę, filar jeszcze się targował, jeszcze się drożył, jeszcze się chwalił, — aż wreszcie po dobréj godzinie podobnych układów przystąpiono do próby. Te same historye powtórzyły się nazajutrz z tenorem, a następnego dnia z basem,— z małemi tylko co do wyrazów i okoliczności zmianami i powtarzały się za każdą próbą, nie zużywając wcale cierpliwości amatorek.

Ale my nadużylibyśmy waszéj cierpliwości zacni czytelnicy, gdybyśmy chcieli opowiadać wam wszystkie podobne historye, chociaż znalazłoby się ich bardzo wiele, chociaż opowiadania nasze przypomniałyby wam nie jedną scenę

oddawna zapomnianą. Nam idzie teraz o wypowiedzenie ostatniego wyrazu, o za poznanie was z celem niniejszego obrazku. Nie powstajemy bynajmniéj przeciwko ludziom, którzy talentami, dowcipem, wesołością, przyczyniają się do urozmaicenia, do ożywienia towarzystw,—broń Boże—takich ludzi, a skromnych, a przyzwoitych, jesteśmy najszczerszymi zwolennikami; ale powstajemy przeciwko *samochwalstwu*, *próżności*, *zarozumiałości*, po których poznajemy filary salonowe, jak żydów po chętce do spekulacyi, świeżo zpanoszonych po brylantowych pierścieniach i głowie górą noszonéj, a kokietki po spojrzeniach... Takich jesteśmy otwartymi nieprzyjaciołmi — bo wady towarzyskie, *to choroby zaraźliwe*, którym dziś ulega kilku, jutro kilkudziesięciu, a kiedyś całe społeczeństwo uledz może!

WARSZAWIANKI

Pierwszy mój uśmiech usta do kobiety wzruszył,
Pierwszą łzę z oka uścisk kobiety osuszył
Pierwsze słowo jéj mowa kształciła pieszczona.
Fredro.

Salony warszawskie błyszczą tysiącami uroków. Ogrody warszawskie kwitną nieprzerwanie od początków wiosny, aż do ostatnich pogodnych dni jesieni. Ulice warszawskie odznaczają się ozdobami droższemi i wabniejszemi od klejnotów i nowości błyszczących w wystawach sklepowych, a te wszystkie uroki, kwiaty i ozdoby, roztaczają w około siebie lica naszych warszawianek, ich urocze spojrzenia, ich zgrabne figurki, ponętne uśmiechy, strojne szaty, dro-

bne nóżki, pulchne rączki; ich talenta, dowcip, słodycz, uprzejmość, ich eteryczna lekkość, unosząca ich postacie pod obłoki, otaczająca ich aureolą cudowności, które nas biednych zachwycają, zdumiewają, przykuwają do ich tryumfalnego wozu, rzucają pod ich stopy, i w serca nasze nieraz mezkie a nie mezkie, wtrącają gwałtem, sielankowość Korydona, zapał Romea, gwałtowność Don Żuana, zazdrość Otella, i tysiące innych jeszcze straszniejszych rzeczy.

Do was odwołuję się kochani czytelnicy, począwszy od 18 tu, aż do 50 lat wieku, czy wyszliście z którego balu, z którego wieczoru, czy wróciliście z jakiego spaceru, z przechadzki po Nowym Świecie, nie rozgrzani, nie oczarowani, nie zachwyceni? Czy jakaś twarzyczka, jakaś figurka, jakieś oczki, jakieś nóżki, nie zamąciły na kilka godzin waszego cichego spokoju, waszéj prozy życia, waszego snu, czy nie przeplotły waszych poważnych myśli obrazami, jakich żadna galerya w świecie nie posiada?

No, a teraz powiedźcie mi, czem to się dzieje, że ta młodzież, ci kandydaci do związków mał-

żeńskich, różnych stopni i wieku, rozgrzewani, czarowani corocznie przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni i wieczorów, stygną i odczarowują się z każdym porankiem, a kiedy przyjdzie im chęć ożenienia się, sięgają po kwiaty rosnące na odległych niwach naszéj ziemi; dozwalając własnym dojrzewać i więdnąć pod okiem, które tyle tysięcy razy poiło się ich wdziękami; patrząc obojętnie jak te same uwielbiane, wynoszone pod niebo piękności, ozdoby salonów i spacerów, tracą liść po listku z wdzięków młodości i świeżości, i jak owe drogie zamorskie krzewy, okwitają w cieplarniach dla tego, że kupca na nie znaleźć nie można. Fakt ten ważny, żywotny, mówię więc szczerze z czyjej strony wina, na kim ciąży odpowiedzialność za miljony najświętszych marzeń, najczystszych uczuć, najlepszych chęci, roztrąconych o jakąś wzajemną nieufność, o poznanie czy nie poznanie się na sobie, zmarnowanych w sferze ciągłych nadziei, ciągłych westchnień, ciągłych starań, ciągłego treptania posadzek salonów, środkowych ulic spacerowych ogrodów, w ciągłych oczekiwaniach, że

ta albo owa suknia, ten lub inny uśmiech, trafią przecież do czyjegoś gustu, do czyjegoś przekonania, do czyjegoś serca.

Trudna odpowiedź łaskawi panowie, bo *mea culpa* obraża naszą miłość własną, bo nie chcemy się wydać z naszemi uprzedzeniami, z naszym sposobem myślenia, aby nie zamknięto nam drzwi przed nosem, w tych wszystkich domach, gdzie są panny na wydaniu, aby te urocze czarne i niebieskie oczki, nie odwróciły się od nas jak od profanów, niegodnych tych spojrzeń, tych uśmiechów, tych łask, któremi dotąd zasłużeni i niezasłużeni obsypywani bywają.

A jednakże bez odpowiedzi być nie może, bo założeniem mojém jest jawnie i publicznie oświadczyć i dowieśdź, że nasze piękne, dobre, czułe warszawianki, cierpią niesłusznie za kilka, kilkanascie lub kilkadziesiąt wyjątków, że nie tylko wdziękami i ukształceniem, ale sercem, prawością i rządnością, nie dadzą się prześcignąć, że po większej części byłyby z nich dobre żony, troskliwe matki, rządne gospodynie, gdyby tylko umiano się na nich wcześnie poznać, i nie dozwo-

lono, aby pod wpływem światowego zużycia, niewinne, poczciwe serca, przeradzały się w naczynia samolubstwa, dumy i próżności.

Czy mi się to uda, zobaczymy, po przyszłych da Bóg doczekać zapowiedziach.

* * *

Przed trzema laty, około godziny pierwszéj po północy, salony państwa Y. gorzały światłem. W głównym salonie muzyka na chwilę przycichła, była to właśnie chwila wytchnienia. Panienki wziąwszy się pod ręce, we dwie, we trzy, a czasem w cztery, obchodziły do koła salę, to gwarząc między sobą wesoło, ulotnie, to odcinając się dowcipnie młodzieży, asystującéj im z wszystkich stron, i prawiącéj słodkie i nudne, dowcipne i śmieszne różne rzeczy. Jak w licach wojaków Malczewskiego wyprawianych na harce z Tatarami siedziało zwycięztwo, tak w twarzach spacerujących promieniła wesołość; z ust, ruchów, ze spojrzeń, lało się życie warem kipiącéj Etny, unosząc piersi panienek silniejszém biciem ich serduszek, wydzierających się z pod gazo-

wych okryć, a czasem i z pod rogowych i stalowych sprężyn gorsetów i mordując umysły młodych dowcipnisiów, wynajdowaniem nowych dwójznaczników, nowych komplementów, któreby chwilowo były nowe, chwilowo znaczyły *coś*, a w rzeczywistości podobne były do szumu kół młyńskich, które zawsze w świątek i piątek na jeden takt bełkoczą. Mamy, ciocie i stryjenki siedziały rzędami na miękkich kanapach i jedna drugiéj szeptała:

Patrz pani prezesowa,—pan Eryk widocznie zajął się panną Leokadyą! O jak jéj słodziutko prawi, a ona jak się rumieni.

Druga mówiła:

— Poszłabym o zakład, że pani mecenasowa w tym roku wyprawi nam wesele. Pan Edmund ciągle tańczył z panną Heleną, a teraz ciągle koło niéj.

— Trzecia ściskała serdecznie jakąś staruszkę i mówiła:

Winszuję pani posłowéj, winszuję, wnuczka robi *furorę*, niezadługo pani posłowa doczeka się prawnuków.

A pan Eryk, pan Edmund i tysiące podobnych imion, na drugim, trzecim i dziesiątym wieczorze tak samo zajmował się pannami: Maryami, Zofiami, Anielami i t. d., a inne znów matki, ciotki i stryjenki, budowały na tém swoje i swych córek nadzieje.

W kącie salonu za fortepianem, siedział pan Henryk, niegdyś dusza młodzieży, zawołany tancerz, wyborny komplemencista, jednem słowem kwiat młodzieży w całém obszernem znaczeniu tego wyrazu, ale siedział zadumany, zapatrzony w posadzkę jakby śledził jej mozajkowe desenie, z twarzą bladą nawet pochmurną. Zbliżyłem się do niego pytając o powody odgrywania tego dramatu.

Pan Henryk znał mnie doskonale, nie robiąc więc sobie ceremonii, pociągnął mnie za połę od fraka i sadzając obok siebie rzekł:

W porę przybywasz, bo jestem w takiem usposobieniu, że gdyby Wisła nie była zamarznięta...

— Tobyś poszedł ochłodzić się — rzekłem przerywając; — masz racyą, bo tu okropnie go-

rąco, i temperatura podniesiona promieniami tylu słońc.

— Mnie te słońca zupełnie nie grzeją, we mnie bracie teraz dwadzieścia kilka stopni zimna, ja przeklinam te wszystkie słońca, bo to nie słońca promienne i czyste, to centaury piekielne, ziejące na nas ogniem, a duszące dymem!

— Stój na Boga, co się z tobą dzieje!? Z tobą, który jak słyszałem masz się wkrótce z jednym z takich centaurów połączyć.

— Ej gdzie tam, już wszystko przepadło. Mojej kujawskiej Dorydzie trafił się jakiś wąsaty szlachcic, mający dwie odłużone wioski i przeniosła go jak powiedziała nad miejskiego skrobi-piórka.

— Dobrze ci tak, nie sięgaj daleko, kiedy masz obok siebie. Zachciało ci się hreczanych pierożków, jedzże teraz szarą polewkę.

— Ej zdaje ci się; ja nie myślałem o pierożkach kiedym zamierzał się żenić. Znasz przecie moją sytuacyą, wiesz, że wystarczy mi na porządne utrzymanie domu, bez rachuby na posag, ale panna podobała mi się, liczyłem na to, że skrom-

nie, pobożnie wychowana, że nie zna światowych pretensyi, a nadewszystko, że nie warszawianka.

— Więc warszawianki nabawiają cię taką odrazą?

— Nie odrazą, ale się ich boję; bo powiedz mi, czy w tej atmosferze kurzów salonowych i ulicznych, w tej powodzi wrażeń, w tym dymie kadzideł, pochlebstw i głupstwa, najlepsze, najszlachetniejsze serce, oprzeć się może pokusom zalotności, próżności i samolubstwa, trzem najgłówniejszym wrogom małżeńskiego pożycia?

— Mylisz się braciszku, a przynajmniej sądzisz ze skutków, nie sięgając głębiej w powody Powiedz coby było z winną latoroślą, gdyby nie dano jéj podpory i pozwolono wzrastać dziko i iść, gdzie jéj się podoba. I owoceby przepadły, i ludzie w końcu zdeptaliby ją nogami. Powiedz, coby się stało z pięknym szczepem, gdyby nie było ręki nie dozwalającéj mu wybujać wysoko, osłaniającéj go przed zimnem i skwarami. Wzniósłby się szybko w górę, usechł lub nędzne wydał plony. Serca bratku, to winne latorośle, to

szczepy; póki młode, póki świeże, trzeba im podpór, trzeba umiejętnej opiekuńczej ręki. Miłość i troskliwość rodziców jest wielka, ale nie odpowiada celowi. Kobieta dopóki jest w domu rodziców, choćby dobrze już znała się z krzyżykami, zawsze jeszcze sądzi się dzieckiem, jéj woli brak hartu, jéj myślom stałości. Pierwszy krok w dom mężowski podnosi jéj ducha, nadaje kształt uczuciom, takt postępkom. Szczęśliwa, jeżeli ten pierwszy krok spotka się z jéj porankiem, z jéj świeżemi uczuciami, z sercem promieniejącym niewinnością, szczęśliwy kto te serce wówczas posiędzie i młodéj latorośli poda podporę. Tę świeżość uczuć i serca, daleko wcześniéj spotykamy u panien miejskich; bo miasto jest cieplarnią, w któréj wszystko prędzéj wzrasta, dojrzewa i usycha, a powiedz mi, kiedy panny miejskie idą za mąż? Wtedy, gdy dziesięć tuzinów par trzewików zedrą na posadzkach salonów i zwirowych ulicach ogrodów, kiedy się już ich wszyscy opatrzą, nachwalą, kiedy każdy brukowiec, znać już je będzie z imienia i nazwiska, z koloru sukni, z fasonu ka-

peluszy; kiedy na listkach tych kwiatów osiądzie już kopeć kinkietów, kurz ogrodów i tchnienie pochlebców. Cóż wtedy poradzi najumiejętniejszy, najtroskliwszy pracownik, kiedy wybujała dziko latorośl, weźmie górę nad jego chęciami?—postara się, popracuje, i rzuci, aby rosła samopas.

Henryk słuchał mnie uważnie, a ja dalej mówiłem:

— Oto patrz tu, w téj sali, ile tu jeszcze serc niewinnych, czystych jak łza anioła, bije pod temi anielskiemi szatami. Ile w téj naiwnéj wesołości, prostoty dziecinnéj, serdecznéj i żywéj. Przypatrz się téj blondynce z niebieskiemi dużemi oczyma, każde jej słowo, każdy uśmiech, każdy ruch zdradza co się tam dzieje w głębi serca. Albo ta brunetka z palącemi oczyma i dwoma sznurkami białych ząbków, co tak naiwnie bawi się fijołkiem, to wszystko prześliczne, powabne klejnociki. Weź je dziś za żony, będą wzorem żon, matek, obywatelek i gospodyń, za rok już gorzej, a za lat dziesięć omiń je zdaleka.

— Romantyku, Petrarko, — rzekł Henryk

wstając i ściskając moją rękę. Muzyka zagrała mazura; spojrzałem, Henryk stał obok blondynki i rozmawiał z nią z tą żywością i dowcipem, jakiemi się zwykle odznaczał.

Tańczono potem polkę, walca, kontredansa; Henryka widziałem ciągle przy blondynce, ale nie rachował już desek w posadzce, lecz jak w tęczę patrzył w błękitne oczki hożego dziewczęcia.

W pół roku ograny Sto-Krzyzkiego kościoła zagrały im Veni Creator, a teraz już trzy lata ubiega od dnia ślubu, a najmniejsza chmurka nie zaćmiła ich małżeńskiego horyzontu. Kochają się szczerze, pieszczą dwoje pięknych dziatek, a Henryk ile razy widzi mnie wchodzącego w progi ich ślicznego, jak raj ziemski mieszkanka, powtarza swojej najdroższej Ewusi, że ja byłem ich swatem.

* * *

Przed rokiem wychodziłem około godziny trzeciej po północy z wieczoru, który zbiegł nam bardzo szybko, w jednym z domów przy ulicy Żabiej. Razem ze mną wyszedł przyjaciel mój Konstanty, chłopiec dwudziesto-kilko letni,

urzędnik, któremu zazdroszczono szybkiej karyery, nie chcąc ocenić, że winien ją był własnym zdolnościom.

Noc była prześliczna, widna i ciepła; obydwa byliśmy rozpromienieni, oczarowani wdziękami młodziutkiej panny Jadwigi, którą powszechnie po dziecinnemu jeszcze Jadzią nazywano. Wzgodnym duecie opiewaliśmy jej duże, wymowne oczy, jéj figurkę pełną cudownych drobnych kształtów, jéj naiwną dziecinną żywość, jéj słodycz połączoną z trafnym i umiejącym radzić sobie dowcipem. Powtarzaliśmy sobie wzajemnie prowadzone z nią rozmowy, unosiliśmy sią nad jéj tańcem, tak lekkim, tak eleganckim, tak żywym, że zdawało się, iż drobne jéj nóżki nie potrzebują dotykać się ziemi, że ona sama lżejszą jest od szat gazowych, co jéj przeszkadzają unieść się jeszcze wyżej i wyżej.

— Kiedyż ty Kostusiu sięgniesz po rączkę swojej Jadwisi? — zapytałem, wiedząc, że od roku bywa w jednym zacnym domu, gdzie młodziutka, świeża blondyneczka, wykwitała dopiero z pączka.

— Podobno nigdy.

— Dla czego?

— Jadwisia piękna, skromna, czuła, dobra;— prawdziwie, że rady sobie dać nie mogę z mojem sercem ile razy ją widzę, i gdyby nie to, że warszawianka....

— Dziecko jesteś mój Kostusiu, warszawianka skromna, czuła, dobra a młoda, to taki sam skarb jaki znajdziesz w lubelskiem, na Kujawach, w Proszowskiem i t. d. a o jakim myślał nasz poeta pisząc:

Boć to w cnocie i w szczerocie
W wiejskim domku wychowane,
Wycackane, wygłaskane,
Niby dumne i dostojne,
A potulne jak trusiątka.

Takie trusiątko zarówno wychowa się pod okiem poczciwej, troskliwej matki, w zaciszu wiejskich dworków, jak i między ścianami warszawskich kamienic; ale potrzeba niedopuścić, aby z tego trusiątka, z postępem wyobrażeń, wyrodziła się lwica; potrzeba postarać się, aby serca tych trusiątek przylgnęły od razu do silniejszych

piersi, aby nie rozkołatały się na wszystkie strony, jak ziarnka w przejrzałem jabłku. Jak tylko dziewiczą wyobraźnię, polotną i lgnącą, rozkołyszą wrażenia i przykłady; jak tylko próżność wyjrzy z za zwierciadeł i pochlebstw, jak tylko główkę opanują myśli o chołdach i tryumfach, już wtedy Kostusiu, czy to wieśniaczka lub warszawianka, unikaj jéj starannie. Chwal, uderzaj czołem, pochlebiaj, baw się, ale nie dotykaj płomienia, bo oparzysz się. Oczki twojéj Jadwisi, to jeszcze nie płomienie, to złociste kosy jutrzenki, uciekające się do twego serca, ale świt, ale poranek przejdą szybko, nastąpi południe, a wtedy... Stanęliśmy przed bramą mego mieszkania.

— Cóż wtedy? — zapytał Kostuś.

— Wtedy, posiwiej starym kawalerem. Kup sobie parę kanarków, pudla, parę bończyków; baw się z niemi, chodź regularnie do biura, umizgaj się z urzędu do wszstkich panien, młodym noś karmelki, starszym komplementa spisane w pugilaresie, gderaj na podwładnych, odwiedzaj z obowiązku wszystkie ogrody i ogródki, a lepiéj na tem wyjdziesz, aniżeli na zetknięciu

się z temi południowemi, czy to wiejskiemi, czy waszawskiemi promieniami.

Zaspany stróż, klnąc na czem świat stoi, otwierał mi drzwi, a Kostuś nie puszczał jeszcze méj ręki.

— Czy ty na serjo tak sądzisz o mojéj Jadwisi?

— A mój drogi, czyż bym miał sumienie igrać z twojem uczuciem? Gdyby to było w wiekach średnich, a żądano takiej próby, to za jéj niewinność, za jéj poczciwe, skromne, potulne serce, gotówbym stąpić na rozpaloną szynę żelaza, a ręczę, żebym szwanku nie poniósł.

— Panowie gadają, bo panowie obuci i w futrach a stróżysko bosy i w koszuli, a słuchać musi.

— On ma racyą—rzekłem dobywając sakiewkę dla pocieszenia biedaka—Bądź zdrów Kostusiu, przyjemnych marzeń.

— Czy o dzisiéjszej Jadwisi?

— Nie, myśl o swojéj! Dzisiéjsza młodzież dla tego o żadnéj nie myśli, że myśli o bardzo wielu. Dobranoc.

— Dobranoc.

Nowe obrazy i nowe rozmowy, zatarły w méj pamięci rozmowę z Kostusiem; dziś jednak kiedy to piszę, mogę was zapewnić czytelnicy, że Kostuś od pół roku jest już mężem swojéj jasnowłosej Jadwisi, że kochają się szalenie, że Jadwisia rządzi mu domem jak najwprawniéjsza gosposia, że niepozwoliła mężowi, aby zapisał się na członka resursy kupieckiej, mówiąc: „ja bywać nie będę, a tobie samemu jeszcze zawcześnie”, że ubiera się skromniutko w żagnoty i płócienka, że u siebie przyjmują tylko dobrze znajomych, że... ale już dosyć tych *że*, o dalszych powiemy (po kalendarsku) w przyszłym roku.

I przykładów tych dosyć, kto je pojął, temu nie potrzeba więcéj, kto nie, tego apostolstwo nasze nie nawróci. A jeżeli zyskamy poklask drobnych, pulchnych rączek, jeżeli młode, czułe serca, uderzą silniej przy odczytaniu tych kilku wyrazów, jeżeli uśmiech zadowolenia przebiegnie po tych twarzyczkach, odfotografowanych zlic anielskich; jeżeli te męczennice miłości macierzyńskiéj, troskliwe matki i opiekunki, obwo-

dzące przez lat kilka swoje córki i pupilki po balach i spacerach, świecące niemi jak szyldami ulicznemi ku ozdobie murów miejskich, podzielą nasze przekonanie, wtedy cel nasz osiągnięty, a resztę zrządzi Bóg, a pokaże *czas*.

POŁAPKI.

Siedziałem w otwartem oknie mojego mieszkania i patrzyłem na podwórze jednego z domów miasta Warszawy trzema liczbami oznaczonych. Było to w lecie, deszczyk gęsty zwilżał spieczone kamienie, kucharki i młodsze zwijały się z balejkami około rynien, wykładając sobie wzajemnie prawa terytoryalne, lub w dobréj zgodzie dzieląc się pod miarę tem co z dachu spłynęło. Jakiś kandydat na terminatora szewckiego, skradłszy jednej z mniej bacznych kucharek niecki, pływał w nich wspaniale po ryn-

sztoku. Bury kot siedział pod kłodą drzewa jak pod parasolem i czychał na szczura, którego w dziurze pod murem przeczuwał, — sąsiadka moja z pierwszego piętra wystawiała na urządzony przy oknie balkonik doniczki z kwiatami, i za każdym razem nie przepomniała pokazać główki z uczesanemi zręcznie blond włosami, z oczami jak dwa kastylskie sztylety, z ustami którychby się zalotna Biłgorajanka nie odrzekła, a sąsiad także z pierwszego piętra wygrywał na flecíku *Filona*, że aż serce skakało i oczy szukały jaworu.

Ludzie co całe życie patrzą tylko w drukowane księgi, szukając w nich kwiatu paproci, owej mądrości, której czas kwitnienia Bogu tylko wiadomy, odwróciliby się od podwórza, po którem uwijały się kucharki, uliczniki, koty i dziewczęta z zalotnemi oczkami, i poszliby ślęczyć nad tem, co się komuś uroiło i co ktoś drugi stęplem doskonałości oznaczył. Ja chociaż i księgą się nie brzydzę, i ostatnią złotówkę gotówbym oddać na pomnik dla Guttenberga, ale nie powiem abym nie przenosił życia nad mar-

twą literę, własnej choć może ubogiej myśli nad cudze choćby najumiejętsze zdania. Dla mnie każda rzecz ma swój urok, nie wiem co to się nudzić, co to jest narzekać na brak towarzyszystwa. Byłem tylko widział niebo i ziemię i stworzenia rojące się po ziemi, choćby robaczki po niej pełzające, nie jestem już sam, tak mi z niemi dobrze, jakbym był w najliczniejszem towarzystwie; a może i lepiej, bo jeżeli kiedy nudziłem się, to tylko wtenczas gdy musiałem grać z paniami w ćwika, panienkom rozpowiadać nowinki z balu, albo słuchać cierpliwie, gdy jaki lew rozsławiał swoje tryumfy na polu salonowem.

Otóż zupełnie byłem zadowolony z tej godzinki ukradzionej powszednim zatrudnieniom żywota; tym staraniom, które za chleb powszedni każą człowiekowi, jak koniowi na lince, obiegać zakreśloną metę. Bawiły mnie kłopoty kucharek, cieszyłem się zadowoleniem chłopaka, który pewnie szczęśliwszym był od sybaryty pływającego gondolą po kanale Weneckim; zwracała moją uwagę poważna mina kota odbywającego najobojętniej jedną z najważniejszych czynności

swego powołania, uśmiechałem się z figlarnéj zalotności panienki, która niby to zajęta była kwiatami, a z bacznością dyplomaty pamiętała o każdym swoim ruchu; śmiałem się na seryo z czułości sąsiada wylewającego swoje uczucia w tonach Filona, bo przyznacie sami, że nie ma nic śmieszniejszego dla człowieka obojętnego, jak patrzeć na zakochanych.

Nieborak rozdzierał piersi przepełnione miłością, a cel jego westchnień, owa Laura, strzelała iskrzącemi oczkami ku innym oknom, nie myśląc pewnie o nim i o Filonie. Gdyby był zamienił rolę z kotem i z jego obojętnością patrzył na ruchy zalotnej dziewczyny, byłby może zapewnił sobie wzajemność i mnie nie dał powodu do uwag, których rezultatem matematycznym był wniosek, że czysta, szczera, wymarzona przez poetów wzajemność, to owa kwadratura koła, która od dawna kręci się po głowach panów matematyków.

Te i tym podobne wnioski i uwagi przerwała nowa okoliczność.

W bramę wszedł węgier w okrągłym, niegdyś

czarnym kapeluszu, w podziurawionéj siermiędze zarzuconej pompatycznie na ramiona, w sandałkach zesznurowanych rzemieniami, z pasem nabijanym mosiądzem, przewieszonym przez ramię, z kółkiem drutu w jednéj a różnemi narzędziami drutowemi w drugiéj ręce; Węgier jakiego widujemy często na ulicach Warszawy, biedny, obdarty, przyciśnięty nędzą a jednakże z głową podniesioną do góry, z miną gęstą i czupurną.

Wszedł w bramę, i tym głosem przeciągłym, który tak doskonale znają psy, dzieci i uliczniki zawołał:

— Garki drutować!

Zaledwie skończył, pies od lokatora z dołu zaczął ujadać—dopomógł mu mopsik ulubieniec panienki,—kucharki zaczęły się wyśmiewać z obcisłego ubrania węgra, dozwalającego widzieć jak u baletnika wszystkie kształty, Węgier jął się im odcinać—hałas zrobił się wielki, pochłaniając najczulsze tony żalu Laury.

Panienka wyjrzała oknem i słodziutkim głosikiem zawołała:

Chodź tu!

Węgier podążył na górę—a panienka nie oddalała się z okna.

— Co pani kupiła? rzekłem widząc że targ skończony.

— *Połapkę.*

— Połapkę—na kogo?

— Na kogoż ma być? na myszy.

— Nie koniecznie—na myszy.

— Naprzykład na kogoż?

— Na sąsiada z przeciwka.

Panienka pokręciła główką i rzekła:

— Na niego nie potrzeba połapki.

I pokazawszy dwa rzędy bielutkich ząbków odbiegła od okna, zapewne dla zapłacenia Węgrowi należności za połapkę.

Mnie nastręczyło się nowe pole do uwag.—*Na niego nie potrzeba połapki*—powiedziała panienka pokręciwszy głową, jak ów minister, który spojrzawszy na kandydata do posady dyplomatycznej, rzekł do swego sekretarza, daj temu panu posadę kontrolera jatek rzeźniczych.

Na kogoż więc potrzeba połapki? Czy ci na których potrzebne, głupsi lub rozumniejsi? —

były to pytania, które na jeden raz stanęły przedemną,—Na kogo potrzebne połapki, mogliby odpowiedzieć ci tylko którzy się w nie już złapali—ja jeszcze Bogu dzięki nie miałem dotąd tego zaszczytu, nie mógłbym więc praktycznie odpowiedzieć—a co do drugiego, to wiemy z historyi naturalnej, jakie ptaki najwięcej się łowią w siatki.

Jednakże bądź co bądź nie chciałbym być tym na którego połapki nie potrzeba. Człowiek zakładając siatki, nie zakłada ich na wrony albo kawki—ale na ptastwo szlachetniejsze, jemu upodobane. Pokazuje się więc jasno jak na dłoni, że tych, na których połapki nie potrzeba śmiało można policzyć do gromady kruków i gawronów.

Jakiż z tego wypływa wniosek—oto taki, że gdybym przypadkiem posłyszał iż na mnie połapki nie potrzeba, gotówbym się z rozpaczy zastrzelić. To sztuka ominąć zastawioną siatkę i potem śmiać się z ptasznika—to tryumf obejść osidlone miejsce—i patrzeć potem na zrujnowane nadzieje. Za chwilkę takiego tryumfu godzi

się nawet na kilka godzin niebezpieczeństwa wystawić.

A ile takich niebezpieczeństw człowiek musi w życiu spotykać? Wieczorem przyniesiono mi litografowaną kartkę, na której drobnym maczkiem dopisano. Państwo N. zapraszają Pana N. na wieczorek familijny.

Poszedłem — bo passyami lubię wieczorki familijne. Może myślicie że dla dwóch szklanek herbaty, i buterszniłów — że dla wista lub preferansa, dla zaszczytu rozmawiania z Panem Radzcą lub Panem Naczelnikiem—nie bynajmnéj.—Na herbacie się nie znam — z równym zadowoleniem piłbym rumianek lub kwiat lipowy, gdyby nastała moda podawać go gościom—Wista gram tylko z konieczności—a zaszczyt rozmowy jest dla mnie tak wielkim zaszczytem, że pragnę jak najmniej z nim się oswajać — ot lubię gawędzić z kobietami, sprzeczać się z niemi —dotykać stron ich serca, która się najharmonjjniej odezwie, a które posłużą mi na materjał do *widoczków.* Lubię nadzwyczaj te rozmowy, które ludzie poważni zowią *o niczem*, a w których prędzej znajdzie się *coś* dla u-

mysłu i serca, aniżeli w konwencyonalnych: *Masz pan Dobrodziej racyę — Przysięgam że każde słowo warto drukować! — Prześlicznie — doskonale — i t. d.*

Państwo N. mieli trzy córki już dorosłe, oprócz drugiej podobnej seryi już dorastających. Panienki jak powiadała ciocia dobro., i jak zapewniał Wujaszek, posiadały wszystkie przymioty, były to aniołki z nieba zesłane umyślnie na ten padół płaczu, dla uszczęśliwienia ziemianów; a tymczasem rzecz dziwna, że ziemianie nie mogli się na nich jakoś poznać i niewierzyli zapewnieniom. Panienki kwitły jak różyczki w sierpniu, którym z każdym dniem coś ubywa, to listek oblatuje, to słońce z drugiego świeżość wypala — przeczuwały że termin okwitnięcia nie daleki, że jesień chłodna i ponura, wyzierała już ku nim bazyliszkowemi oczyma.

Jak generał, który widzi się blizkim złapania w matnię, używa wszelkich sztuk i manewrów, aby wydobyć się z trudnego położenia, tak owe panienki pomnąc o tém, że każda godzina jest drogą, nieprzepomniały korzystać z każdej spo-

sobności, aby cel westchnień, postów i gorących modłów osiągnąć.

Gdym wszedł po oświeconych kinkietem schodach, wieczorek familijny był już w pełnem rozwinięciu. W salonie paliły się dwie słoneczne lampy i kilka świec — na kanapie siedziało już kilka pań rozpowiadających sobie wzajemnie nowinki miejskie. Pan Radca opowiadał kolegom anegdotkę, jak kiedyś na polowaniu strzelił do czapki lisiej swego kompana, na co słuchający hucznym odpowiadali śmiechem, a panienki siedziały rzędem na kozetkach, niby to słuchając rozmowy toczącej się na kanapie, niby opowiadania pana Radcy, a w rzeczy samej zerkając z pod oczka na drzwi wchodowe.

Po zwykłych suwaniach nóg, kiwaniach głową, ściskaniach rąk i pełnych uniżoności ukłonach, usiadłem sobie z daleka, aby najprzód; *zrekognoskować* pole wieczornej walki.

Powiadają że jakiś kandydat na doktora medycyny, napatrzywszy się w sali anatomicznej, jak krajano trupów, przyszedłszy do domu i zastawszy nakrycie do obiadu, wziął nóż i chciał

się zabrać zamiast do pieczeni, do pokrajania żony. Powiastce tej nie braknie tak dalece zasady, jakby się z pozoru wydawało. Niech tylko człowiek wbije sobie co w głowę—ręczyć można że to co jak cień go nie odstąpi.

Przeklęte połapki—chodziły za mną; i zaledwie tylko rzuciłem okiem po towarzystwie, z którem miałem wieczór przepędzić, stanęły przedemną jak zmora.

Rozumie się, że przez grzeczność, pierwsze spojrzenie poświęciłem pannom domowym. Wszystkie trzy były prześliczne, gustownie ubrane, twarzyczki ich jednakowo się wdzięczyły; a jednakże u pierwszej ujrzałem połapkę wyglądającą z pod przejrzystej szlareczki mającej niby okrywać śliczne, alabastrowe, pełne, kształty ramion i piersi.— U drugiej połapka wyzierała z ogromnej brylantowej broszy, wpiętej przy gorsie, a u trzeciej z czarnych, figlarnych, zaczepnych oczek, przenoszących się lotem błyskawicy z miejsca na miejsce, z przedmiotu na przedmiot.

Biedna młodzieży! pomyślałem sobie, będziesz się miała z pyszna—aż trzy połapki na raz,

nie licząc nici zgrabnie osnutych po całym salonie.

Tymczasem klamka u drzwi salonu zaczęła być w ruchu, wchodziło dosyć osób poważnych, ale najwięcej młodzieży.

Wszedł jeden brunet okazałej postawy, barczysty, z grenadyerskiemi wąsami,— pierwsza z panienek zatrzymała na nim swoje spojrzenie, a i on jakoś najprzód oczy ku niej obrócił.

Wszedł drugi — mały czupurny brunecik z twarzyczką ruchawą, z oczyma latającemi: zwano go pospolicie małym milionerkiem i upatrywano w nim przyszłego Rotszylda. Druga z panienek powitała go wdzięcznym uśmiechem, a on zaś dwa razy się ukłonił, zapewne raz jej samej, a drugi raz jej broszy.

Wszedł trzeci miernego wzrostu, szczupły, cały czarno ubrany, z twarzą łagodną i pełną wyrazu, z oczyma przemawiającemi do duszy.

Nazywano go poetą—marzycielem—i on się o to nie obrażał. Ostatnia z panienek posłała ku niemu dwa błyszczące płomyki, a on się zmięszał i nie umiał odpowiedzieć Mamie Dobrod. pytającej go o zdrowie.

Rozpoczął się wieczór obnoszeniem herbaty. Brzęk filiżanek, wreście apetyt gości, nie pozwalały obserwacyi. Potem ustawiono zielone stoliki—i na moje nieszczęście, pani Prezesowej zachciało się grać w wista, a że nie było partyi, musiałem tedy, rad nie rad, poświęcić się na ofiarę. Pozwalając pani Prezesowéj brać tyle lew ile jéj się podobało, zrucając figury zamiast dwójek i szachrując z kredką, o ile tylko mogłem, we dwie godziny zwalczyłem przecie upartego *tura*, i ukłoniwszy się nizko za zrobiony mi zaszczyt, pospieszyłem obejrzeć, co też robiono w salonie.

O dziwo wszystkie trzy pary dobrały się jakby umyślnie.

Poszedłem ku pierwszéj—rozmawiano o wieczorze u Prezesostwa. Brunet opowiadał ile przetańczył mazurów, polek—walców i na zakończenie dodał że podobała mu się nadzwyczaj panna M—ale, pomimo największych usiłowań, tylko sześć razy mógł z nią tańczyć. Po tem wyznaniu panienka westchnęła lekko i niby od niechcenia odchyliła z piersi szlareczkę.

— Brawo brunecie, twoja wygrana—pomyślałem sobie i poszedłem dalej.

Milionerek był w całym zapale erudycyi,—opowiadał ubranie dam z ostatniego balu, unosząc się szczególniéj nad bertą złotą pani * * Śliczną ma córeczkę ta pani, dodał, i gdyby nie to że już zaręczona, dalibóg starałbym się o nią koniecznie. Drugie westchnienie towarzyszyło tym słowom, a ja rzekłem do siebie.

— Zuch milionerek—i poszedłem daléj.

Poeta deklamował swéj towarzyszce ustęp z Romea. Trafiłem właśnie na słowa:

«Dwie gwiazdy w pilnéj kędyś posłane potrzebie,
«Proszą się oczu Julii, by raczyły w niebie
«Świecić, nim gwiazdy wrócą i znowu zaświecą.
«I cóż jeśli jéj oczy do niebos polecą?
«I cóż jeżeli gwiazdy błysną wśród jéj czoła?
«O niechcę!—blask jéj oczu gwiazdy zgasić zdoła
«Jako dzień gasi lampy,—a niebo jéj okiem
«Cudowną jasność, takim lałoby potokiem,
«Że ptaki dzień w omylnym witałyby dzwięku!

Gdy to mówił, twarz jego płonęła płomieniem, spojrzenie tkwiło w gwiazdach, które mu

także widać zbyt promiennie świeciły, a w drugiej ręce ściskał dłoń czarodziejki.

— Złapany!—wymówiłem dość głośno, z miną taką, jaką ma kochany nasz Żółkowski, gdy przekonywa się, że kule z których on żartował i które brał za orzechy, są *ołowiane.*

— Kto złapany?—zagadnęła mię pani Inspektorowa, myśląc że schwyci jaką nową ploteczkę.

— Pan Sędzia dobr. — odrzekłem naiwnie, bo opowiadał jedno ze zdarzeń swego wojennego życia, które ktoś kiedyś drukowane czytał.

— Ależ tu pana sędziego nie ma.

— To też-to wczorajsza historyjka.

Pani Inspektorowa skrzywiła się, jakby po kwaśnem jabłku, a ja w myśli śpiewałem złapanemu *requiescat in pace.*

Wkrótce brunet przypomniał sobie, że zaproszony na tańcujący wieczór i wyszedł ścigany żałosnym wzrokiem zawiedzionych nadziei. Miljonerek spojrzał na zegarek Patkowski w trzech złotych kopertach i wyniósł się po angielsku. Został tylko poeta, ścieląc drogie, poczciwe skar-

by swego serca, pod nogi tryumfującej właścicielki *połapki.* Nieprzysuwałem się do nich, bo mnie gniewała niebaczność młodego chłopca zagorzalca, który wszystko i wszystkich na skalę swoich uczuć mierzył.

W kilka miesięcy po tem Kuryer swoim zwyczajnym stylem doniósł że: „W kościele Xięży Kapucynów odbył się wczoraj obrząd zaślubin pana X. z panną N., w obec licznie zgromadzonej rodziny, przyjaciół i znajomych. Błogosławił nadobnej parze Xiądz Edward, i nowożeńcy opuścili zaraz Warszawę, unosząc z sobą najczulsze życzenia, rodziny, przyjaciół i Kuryera."

Pokiwałem smutnie głową i od tego czasu połapki nie mogą mi wyjść z głowy. Widzę je i na złoconych klamkach podwoi, i na angielskich paletotach młodzieży, i w uśmiechach naszych piękności, i w skromnem spojrzeniu sąsiadek—tak dalece, że świat cały wydaje mi się jedną wielką *połapką,* którą tysiące ludzi zastawia i w którą tysiące ludzi się łapie. Czy jest w tem jaki sens, ja o tem sądzić nie mogę.

ŻONA

KTÓRA OKNEM WYSKOCZYŁA.

Zmierzch się zbliżał. Siedziałem w tem samem oknie i przysłuchiwałem się gawędce dwóch drwali, którzy ukończywszy robotę, usiedli na klocu drzewa oczekując na zapłatę.

— Zbiję babę na kwaśne jabłko—mówił jeden.—Patrzcie jejmość! nie chciało jéj się przynieść mi podwieczorka. Bo to widzicie, takie harne dla tego, że jéj człowiek folguje. Bywało nieboszczka pierwsza żona, to także z początku byle o co, już ani weź, ale jak panie wykropiłem raz i drugi, to czujduch panie, jeszczem nie pomyślał, a ona już zrobiła.

— Ej, bo wam się tak zdaje, może ją co zaszło?

— Zaszło, nie zaszło, a moje być powinno; czy to człowiek nie pracuje krwawo, czy co? Ale widzicie, w południe powiedziałem jej grzecznie, że barszcz nie kwaśny, a kartofle lada jako upieczone, i tak się o to najeżyła. Dobrze powiadają, jak na niedźwiedzia mała gałązka spadnie, to on ryczy, a jak cała gałęź, to nic nie mówi.

Uśmiechnąłem się z téj logiki małżeńskiéj, gdy drzwi się otworzyły i wszedł mój dobry znajomy, młody Władysław Brajczewski, niegdyś uczeń marymontski, a teraz świeżuteńko ożeniony obywatel.

Ukończywszy Marymont (mówię to podług utartego zwyczaju) wziął dzierżawę i zaczął przemyślać nad poprawieniem swego losu. Ojciec jego miał wprawdzie parę dziedzicznych wiosek, ale na nich ciężyły djabelnie listy zastawne, i cięższe jeszcze od listów zastawnych trzy siostry, panny pełnoletnie, strzelające oczkami za mężem, przepadające za zabawami, gotowe cho-

rować na ulanie żółci, gdyby co rok nie zmieniły sześciu kapeluszy i trzy razy tyle sukien.

Nie mógł więc wiele nasz jedynak, choć jedynak, liczyć na majątek ojcowski, bo dodamy jeszcze nawiasem, że głową domu była jejmość dobrodziejka, a jako matka, nadzwyczj czułą była na wszelkie wybryki jedynaka, ktore uszczuplały stan czynny majątku, i mogłyby kiedy zaszkodzić karyerze córek, stawiąc je w opłakanem położeniu, panien bez posagu.

Na co Władziowi majątek?—mówiła zwykle—on dobry brat, on wszystko odda siostrom, a sam ożeni się bogato i będzie panem.

Władziowi tak utkwiła w głowie ta droga do *państwa*, że jeszcze będąc w Marymoncie, układał sobie plany, z kimby się ożenić, aby proroczych słów mamy dobrodziejki nie zawieść.

Śmiałem się zwykle z tych młodzieńczych planów, bo byłem z Władziem bardzo dobrze, a nieraz nawet porządnie go wyszamerowałem, gdy te wybryki wyobraźni za nadto posunął.

Raz pamiętam przyszedł do mnie z żądaniem, aby pożyczyć mu pięć rubli. Ponieważ wiem

z doświadczenia, że dla młodego najlepiej kiedy najmniej ma pieniędzy, więc pokazałem mu pustą sakiewkę, dodawszy odwieczną sentencję, że z próżnej butelki i mądry Salomon nie naleje. On mnie więcej nie nagabał, a ja się więcej o nic nie pytałem, i zostawiłem Władzia w mojem mieszkaniu, bo miał zabawić parę dni w Warszawie.

Przyszedłszy już blizko bióra, przypomniałem sobie żem nie wziął chustki do nosa, a że chustka biuraliście nieodzownie potrzebna, bo czasem oprócz swego własnego nosa, dostanie jeszcze *nosa* od zwierzchnika, więc postanowiłem wrócić po rzecz tak konieczną. Wracam, i zastaję znanego mi dobrze Fajwla handlarza, przypatrującego się pilnie do okna ubraniu, na które zwykle krawcy dwa łokcie sukna lub innego materjału potrzebują.

— A ty tu po co—rzekłem do uśmiechającego się głupowato Fajwla i witającego mnie swoim zwykłym *bon jour*.

— Kupiłem te spodenki od jasnego pana, a

zapłaciłem, aż gwałt, dwa rybelki i czterdzieści kopiejków, bo Fajwel dobrze płaci.

Gdy handlarz odszedł z nabytym towarem, zapytałem Władzia, na co mu tak pilno potrzeba pieniędzy, że aż się wziął do handlu pociejowskiego.

— A widzisz, bo—rzekł jąkając się—jutro imieniny panny Józefy, trzeba jéj posłać bukiet, a nie chciałeś mi pożyczyć.

— Oj dzieciaku, dzieciaku—rzekłem, nie mogąc powstrzymać śmiechu—pannę Józefę jutro obrzucą bukietami, nie dwu-rublowemi, ale płaconemi na wagę złota; na twój, ręczę, ani spojrzy, a może go i nie przyjmie, a ty zdobyłeś się dla posiadania bukietu na tak heroiczną ofiarę! O szaleńcze! napij się zimnej wody i ruszaj co tchu za Fajwlem, daj mu kilka kopiejek zarobku i odbierz swoją własność.

Władzio się zaperzył i nic mi nie odpowiedział, ja ruszyłem ramionami i poszedłem do bióra.

Przyszedłszy wieczorem, szukałem świecy i zapałek po omacku, gdy coś mi zawadziło pod

nogami, że o mało się nie przewróciłem, schyliłem się i podniosłem bukiet.

Z gatunku kwiatów, objętości i kształtu, domyśliłem się, że kupiony był za Żelazną Bramą i zrozumiałem całą jego historyę. Władzia nie było, odjechał do Marymontu, i tylko na karteczce napisał: „Dobrze mówiłeś, ta harda miljonerka nie przyjęła mego bukietu. Zostawiam ci go, a jeżeli zechcesz, daj go w dodatku Fajwlowi."

Bukiet zatrzymałem na pamiątkę gorączki młodzieńczej, i później wyciągałem go z kąta jak żaki upitskie trupa Sicińskiego, za każdym razem kiedy Władzio począł mi malować swoje *matrimonialne* plany.

Gdy wydalił się z Marymontu, straciłem go już z oczu i dopiero nieoszacowany Kuryerek objaśnił mię, że Władysław Korab Brajczewski, syn Pawła i Doroty z Gagatkowskich, wszedł w związki małżeńskie z panną Pulcheryą Dziedzicką, córką Józefa i Apolonii z Kozerów małżonków Dziedzickich, dodając, że państwo mło-

dzi otoczeni życzeniami rodziny i kuryera, wyjechali do Włoch.

Daj go katu — pomyślałem sobie—marzył i wymarzył, bo ta panna Pulcherya musi być pulchna, skoro moda spędzenia miodowego miesiąca pod obcem niebem, nie rozbiła się o puste kąty Władziowéj szkatułki.

I przy mizeryach naszego Warszawskiego życia zapomniałem i o Władziu i o jego karyerze. Przypomniał mi się sam, gdy wracając z Włoch przyszedł pochwalić się, że *wziął półtora miliona* posagu.

Powinszowałem mu serdecznie tego *wziątku*, a Władzio nie zaprosił mię nawet do siebie, uprzedzając z góry, że szanowna jego małżonka ma jeden grymas i nie lubi Warszawiaków.

Powinszowałem mu jeszcze serdeczniéj tego *jednego grymasu*, otaczającego chińskim murem jego spokojność domową, i rozstaliśmy się z sobą po wielko-światowemu, prześlicznie brzmiącem *adieu*.

Od tego czasu nie widziałem Władzia, aż do

chwili, w której przerwał mi dalszy ciąg gawędki drwalów.

Niepotrzeba było być wielkim fizjognomistą, aby z miny Władzia odgadnąć, że mu coś djabelnie ciężyło na sercu. Przywitał się z roztargnieniem i nic nie mówiąc, rzucił się na sofę.

— Czy nie masz dobrego cygara—rzekł—ale to dobrego co się zowie, nie z tych waszych kapustosów?

— Zacny obywatelu, filarze ziemi Rawskiéj, jakież ty naprzykład palisz?

— Już najmniéj dwudziesto-groszowe.

— Patrzcie go! No, ale na twoje szczęście znajdzie się jedno, którem mię jeden z tutejszych bankierów w dowód wysokiego zadowolenia obdarował.

Zapalił, pociągnął kilka razy i rzucił.

— Kapustos, gałgaństwo.

— A, to już wybacz, czem chata bogata tem rada.

I Znowu nastąpiło długie milczenie.

— Czy piszesz co nowego?—zapytał znowu.

— Jakżeby mogło być inaczéj. My, mój oby-

watelu, musimy pisać, nieraz z taką ochotą z jaką baletniczka tańczy na scenie, pogrzebawszy tego samego dnia ojca lub matkę, albo pokłóciwszy się z kochankiem. To nasza rola, nasz plon.

— Przeczytaj mi co, tylko co wesołego.

Wziąłem jakąś ramotkę, którą uważałem za arcy dzieło dowcipu, i zacząłem czytać.

— Za trzecią stronicą przerwał mi i rzekł:

— Daj pokój, djabelnie nudne. Czy nie masz co weselszego?

— A mój kochany, tobie by teraz i nieboszczyk nasz chirurg filozofii niedogodził. — Cóż ci tak dziś na świecie kwaśno?

Władzio nic nie odpowiedział, a ja zacząłem wybijać palcami jakąś polkę. Domyślałem się powodów pańskiego kwaśnego humoru, ale chciałem aby sam się przedemną wyspowiadał.

— No i cóż będziemy robić, zapytał po chwili.

— Albo ja wiem, jestem na twoje usługi. Pójdźmy do teatru.

— Cóż grają?

— „Odludki i poeta, pan Stefan z Pokucia i Żona która oknem wyskoczyła."

— A cóż za potworny tytuł. Zdaje mi się że jest w nim z 10 wyrazów.

— Cztery tylko mój dobrodzieju.

— Czy znasz tę sztukę?

— Nie.

— Żona która oknem wyskoczyła, powtarzał sobie pod nosem i dodał wreszcie: powiedz mi czy to po polsku?

— Co? czy ona po polsku oknem wyskoczyła?

— Wcale nie dowcipnie,—rzekł z obrazą i dodał,— ale czy ten tytuł dobrze odpowiada polskiemmu językowi.

— Czy chcesz pisać krytykę?

— Niech was tam djabli wezmą z waszemi krytykami,—kto by tam wdzierał się w wasze prawa, mnie tylko się ta *która* niepodobała.

— Poczekaj, jak zobaczysz tę *którą* w naturze a nie na tytule, to ręczę że zmienisz zdanie.

— Któż gra tę *którą*?

— Pani Zielińska.

— Qu'est ce que ça Zielińska?

Czyś ty w Rawskim napił się wody letejskiej czy co—Zielińska dawna Moroz.

— A! a! a! któraż godzina?

— Trzy kwadranse na siódmą.

— No to chodźmy.

— Chodźmy.

I po kilkunastu minutach siedzieliśmy już w trzecim rzędzie krzeseł Teatru Rozmaitości, bo obywatel nie chciał posunąć się dalej ku parterowi, i wspaniałomyślnie zafundował mi bilet.

Grano najprzód *Odludki i poeta*, małą komedyjkę w której jednak talent Fredry kto wie, czy nienajwyraźniej się uwydatnił.—Któż z nas jéj nie zna? kto nie powtórzy z pamięci większéj jéj połowy? Ja przynajmniéj z dziesięć razy byłem na jéj przedstawieniu, i za każdą razą nowe odkrywałem w niéj piękności. Przeklinałem świat z odludkami i unosiłem się nad nim z całym zachwytem poety. A Rychter, nieporównany odludek, komuż nie tkwi w żywej pamięci. Każde wymówione przez niego słowo, każdy gest, przysiągłbyś że nie wyuczone, ale wyszłe prosto

z oburzonego na świat serca. Łzy mi się zawsze kręcą w oczach kiedy słucham monologu zakończonego słowami, które możnaby wyryć na grobowcach wielu i bardzo wielu mężów.

......O! kto los swój połączył z kobietą!
Ten schwycił gałąź bluszczu nad przepaścią skrytą;
Urywa się i pada—ginie wśród kamieni
A na górze bluszcz bluszczem wiecznie się zieleni.

Władzio jednak obojętnym był widzem. Czasem tylko pan Kapka zdołał wywołać lekki uśmiech, ale to na bardzo krótko. Widocznie jakaś dręcząca myśl zajmowała głowę biedaka.

Nastąpił potem *Pan Stefan z Pokucia.* Znowu Rychter zdobywał zasłużone oklaski. Nieszczęśliwy z początku, potem aż do zbytkn uradowany, kochanek ów pan Stefan szlachcie zawadyaka, odsłonił nam drugą stroną talentu artysty. Władzio przecież ciągle milczał i dopiero gdy pan Stefan kazawszy okulbaczyć kobyłkę, na której miał podążyć ku swojéj narzeczonéj, rozwodzi się nad przymiotami kobiet, i mówi:

Bo kobieta najlepsza gdy... (patrzy przez okno).

Okulbaczona!!!"

Zaśmiał się serdecznie i rzekł

— Pan Stefan ma wielką racyę.

Gdyśmy w antrakcie posilali się pączykiem Loursowskim, Władzio rzekł:

— Ciekawym bardzo téj ostatniéj sztuki.

— Dla czego?

— Albo ja wiem, tak jakoś mnie tytułem intryguje.

— Przyznam ci się, że cię dziś nic nie rozumiem. — Słuchałeś Odludków Fredry jak Niemiec poloneza Ogińskiego, pana Stefana jak student z piątéj klassy, którego nadzwyczaj bawią grubsze dowcipki, a wyglądasz z ciekawością sztuki, którą napisał ktoś w Paryżu w pół godziny przy porcyi kotletów i kieliszku burgunda, a ktoś drugi dla spekulacyi, nie w dłuższym przeciągu czasu przetłómaczył.

— Ja o tem wszystkiem wiem—a jednakże....

Niedosłuchałem reszty, bo zadzwoniono i Władzio jak oparzony poleciał na swoje miejsce.

Gdy młody zakłopotany małżonek opowiada stryjowi nieznośne swoje położenie, grymasy żo-

ny, rady matki, gdy z boleścią maluje ostatnie zajście, które skończyło się aż na tem, że żona wyskoczyła oknem i teraz nie chce do niego wrócić.—Władzio rzekł:

— Nie uwierzysz jak to zgodnie z mojem położeniem.

Chciałem się uśmiechnąć, ale spostrzegłem, że Władzio mówił to na seryo, bo jak w tęczę patrzył w twarz Stolpego i żal mi się zrobiło biednego przygniecionego *półtoro milionowym ciężarem* i stanęły mi przed oczyma wszystkie świetne karyery, któremi ludzie zapychają próżne serca, jak rękawicznicy irchowe lalki trocinami, pokazując je potem na podziw gapiącemu się światu i tak zapędziłem się w różne wnioski i porównania, że ocknąłem się wtenczas dopiero gdy Władzio trącając mnie rzekł:

— Czy słyszysz jak on mu dobrze radzi.

Stryjaszek radził wtenczas siostrzeńcowi, aby nie zważał na fochy jejmości, aby hulał, bawił się, polował, a broń Boże nie przepraszał dąsającej się połowicy. Chomanowski grał doskonale, wszystkie gesta i ruchy zgodne były z mo-

wą, mógł zająć nie tylko mężów od których żony oknem wyskoczyły, ale i obojętnych widzów.

Władzio zachwycał się każdem powodzeniem planu stryjaszka, a gdy w końcu owa zagniewana małżonka, która oknem wyskoczyła, i która dyktowała mężowi rotę przeproszenia, dzwigając drabinę przystawiła ją do tego okna którem wyskoczyła, i prosiła męża aby ją do siebie puścił, przyrzekając, że już nigdy oknem wyskakiwac nie będzie. – Rozumiałem, że Władzio oszalał, i skakał i śmiał się i wołał brawo, aż wszyscy z loż i krzeseł zwrócili na nas uwagę.

— Władziu! rzekłem trącając go, pamiętaj, że my tu nie sami.

— A co mnie to obchodzi, kiedy nie uwierzysz jak mi się ta sztuka podoba.

Wychodziliśmy już pod filary teatru, a Władzio jeszcze mówił do siebie:

— A to wybornie, doskonale, wjechała tą samą bramą którą wyjechała.

— Ależ nie bramą, tylko oknem.

— To wszystko jedno, a mówię bramą dla tego, że to się więcéj zgadza z pewną historyą.

— Cóż to za historya?

— Ej to drobnostka ot komedya. *Żona która bramą wyjechała.*

— I bramą powróci.

— Powróci, powróci! Dalibóg powróci! Dziękuję ci za dzisiejszy wieczór.—Czy nie pójdziesz do Heurtego.

— Nie, wiesz że kolacyi nie jadam.

— A to do widzenia mój drogi, jeszcze raz ci dziękuję.

I pobiegł czwałem ku Bielańskiéj ulicy.

Drugiego czy trzeciego dnia spotkałem go na Nowym-Świecie. Pędził jak gdyby mu się własny dom palił.

— Gdzie tak spieszno? zapytałem, zatrzymując go.

— Już pół do siódméj, a muszę jeszcze być dziś w teatrze, odpowiedział łapiąc oddech i kończąc zwykłem *adieu.*

Spojrzałem na afisz. Długim rzędem ciągnące się litery składały tytuł:

Żona która oknem wyskoczyła!

Oj ludzie ludzie!, pomyślałem sobie, maszynki nakręcone rękami gromadnéj rodziny okoliczności, trzcinki gnące się za powiewem tego lub owego wiatru i wam się śni, że wy zajmujecie jakieś w świecie stanowisko, że społeczeństwo ma z was jaki taki użytek? Woziwoda co z zaczerpniętą z łona Wisły wodą, objeżdża ulice, piaskarz co na ramionach dźwiga heroicznie groszowy towar, preclarz co rozdziera piersi zachwalając przechodniom obwarzanki, więcéj zdobywają zasługi, bo praca ich przynosi im i drugim pożytek. A wasze drobne zabiegi, kłopoty, niepokoje, zmartwienia, radość, nadzieje i zadowolenia trzymają się tylko was samych, do was samych są przykute, was tylko jednych obchodzą; życie upływa wam na nich, a życie to nie żona, nie wróci tem samem oknem, którem upłynęło.

Powiadają, że Wallenstein przed każdą stanowczą chwilą kazał rozwieszać na ścianie obraz tryumfu Belizaryusza; i codziennie po parę godzin przy nim trawił, jeżeli więc niefortunne losy rzucą którego z was łaskawi czytelnicy pod

pantofelek jejmości dobrodziejki, to nauczony przykładem Władzia radzę mu, aby dla przekonania się, że to nie taki straszny djabeł jak go malują, poszedł na komedją *Żona która oknem wyskoczyła*.

KTO TU WINIEN

OBRAZEK DRAMATYCZNY.

OSOBY.

Pan Kościesza—Rejent.
Karolina—jego żona.
Pan Łukasz—sąsiad.
Magdusia—garderobiana.
Skrobalski—pisarz.
Pani Pieprzycka—szafarka.

Rzecz dzieje się w Warszawie, w dworku na jednej z oddalonych ulic.

KTO TU WINIEN

OBRAZEK DRAMATYCZNY.

AKT I.

Izba obszerna, sprzęty staroświeckie, w rogu. stare biurko założone księgami, nad niem kalendarz i dyscyplina, na boku fortepian, na prawo dwa okna, na lewo wejście do alkowy, z głębi wchód

SCENA I.

Wieczór jesienny. Księżyc świeci w okna. Magdusia (sama) siedzi przy stoliku przy dwóch świecach haftuje i śpiewa.

(śpiew na nutę Filona)

Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły
I cóś tam klaszcze za borem,

Pewnie mnie czeka mój Filon miły,
Pod umówionym jaworem.

(patrząc w okno.)

Miesiąc zeszedł, ale mój Filon pewnie ani myśli o mnie zagrzebany po uszy w swoich papierzyskach. — Ej co tam — jak przyjdzie niedziela to on pomyśli.

(śpiewa)

Nie będę sobie warkocz trefiła
Tylko włos zwiążę splątany
Bo bym się bardziéj jeszcze spóźniła,
A mój tam tęschni kochany.

Żeby choć tęsknił — ale ja może i w głowie mu nie postanę.

(śpiewa)

Wezmę z koszykiem maliny moje
I tę plecionkę różowę,
Maliny będziem jedli oboje,
Wieniec mu włożę na głowę.

A pięknieby wyglądał w różanym wieńcu?!

Ha! ha! niby ten jakiś co to u pana w sypialnym pokoju na obrazie, siedzi na beczce z kieliszkiem w ręku i z kwiatami na głowie....

(śpiewa)

Prowądź mnie teraz miłości śmiała,
Gdybyś mi skrzydła przypięła.
Żebym najprędzéj bór przeleciała
Mego Filona ścisnęła.

Otóż i jawór—nie masz miłego!
Widzę że jestem zdradzona.
On z przywiązania żartuje mego,
Kocham zmiennika Filona.

Biedna ta panna Laura—mało nad nią nie płaczę, bo te Filony to zawsze jednakowe. Niby się zaleca, niby grzecznie mówi, niby kocha, a jak przyjdzie co do czego, to *myk* i już go niema... *(słychać pukanie do drzwi)* A to co? czyby mój Filon? czy Pani powróciła? (*pukanie się powtarza.)*

Głos za drzwiami.

Magdusiu!

Magdusia

Kto tam?

Głos za drzwiami

To ja — wasz sąsiad.

Magdusia

A pan Łukasz — proszę — bardzo proszę,

Pan Łukasz

Otwórz.

Magdusia (otwierając)

Padam do nóżek, padam do nóżek!.. A dla czego tak późno?

Pan Łukasz

Psyt — czy jest Pan w domu?

Magdusia

Niema — niema — i chwała Bogu że niema, albo ja bym sobie śpiewała gdyby on był, — albo nasza Pani mogłaby jeździć konno w Aleje, gdyby stary maruda mantyczył jéj nad głową. Ho! ho!

u nas dziś jak w raju, — bo w raju proszę Pana zapewne starych mężów nie będzie?

Pan Łukasz

Nie będzie — nie będzie! — A kiedy pan powróci?

Magdusia

Czy ja wiem? ale pewnie nie prędko, bo wziął z sobą do tłomoka piernat, pierzynkę, dwie poduszki do spania, dwie do obłożenia boków: ugotowaliśmy mu z panią butelkę owsianego kleiku, butelkę rzymskiego rumianku i wsiadł w brykę wysłaną wysoko jak stodoła—i pojechał, —ale gdzie, to z radości że pojechał nie pytałam się.

Pan Łukasz

Więc można dziś u was cały wieczór zabawić i widzieć się z panią.

Magdusia

A można—można i sto razy można. Niechże pan wejdzie, bo by ludzie gotowi mnie o co złego posądzić, a wtedy mój Filon....

Pan Łukasz

Wtedy twój Filon prędzéj by się z tobą ożenił.

Magdusia

Ale gdzie tam—u nas to nie tak jak u państwa, co to panny za jednego idą a drugiego kochają— u nas jakby mój Filon obaczył, że ja się bałamucę, to by było bardzo źle?

Pan Łukasz

Cóż takiego naprzykład?

Magdusia

Albo pan nie wie że nasze Filony mają strasznie mocne ręce. Ho! ho! ja tylko raz dostałam takie pamiętne, za to że się dałam pocałować pańskiemu Jankowi, ale do śmierci tego niezapomnę.

Pan Łukasz

A to zuch ten mój Janek.

Magdusia

Taki sam jak pan. Ludzie powiadają—jaki pan taki kram i w cale niechybiają. Pan Łukasz nie

żeni się, tylko biega za młodemi mężatkami, bałamuci im głowy i Janek w te pędy za panem, do dziewczyny jak do maliny—nie dość mu na nią popatrzeć, — chce koniecznie szkosztować czy słodka.

Pan Łukasz

A gdyby też mnie przyszła ta sama pokusa? (*chce złapać umykającą przed nim Magdusię.*)

Magdusia

Nie tak prędko — nie tak prędko — Jankowi wolno—bo on nię z państwa—ot taki sobie jak i ja, ale panu Magdusia nie smakowałaby— pan ma panny i panie w atłasach —do nich—do nich one słodsze jak chłopka w gorseciku. (*Gdy pan Łukasz ciagle za nią goni, oną zastawia się krzesłem*). Bardzo proszę odczepić się odemnie, bo powiem zaraz przed panią.

Pan Łukasz

I cóż z tego będzie?

Magdusia.

To, że pani potém na pana nie spojrzy bo po-

myśli sobie—bałamucisko—on mnie nie kocha, tylko....

Pan Łukasz.

Oszalałaś dziewczyno, czy co? ja twoją panią kocham? A tobie kto o tém powiedział?

Magdusia.

Ej proszę pana, czy to człowiek ślepy, czy co? Są tu unas ludzie *ślepi*—ale to nie dziwota, bo starzy, ale Magdusia ma dodre oczy, i widzi wszystko jak na dłoni.—Albo by to pan bywał tu co niedziela, aby grać z jego mością po pięć godzin, i słuchać co on gada po sto razy jedno, gdyby nie oczki naszej pani, w które pan patrzy jak w cudowny obrazek. Nasz pan to umyślnie wyprowadził się tu, tak daleko od miasta,—umyślnie nie bywa nigdzie, i od ludzi ucieka,—bo się boi żeby mu kto żony niezbałamucił—panu jednemu tylko wierzy,—ale mnie się widzi, że on się i na panu oszuka—ho!—ho! Magdusię na poślad nie złapie—Magdusia wszystko rozumie.

Pan Łukasz.

Ale dziewczyno, ty szalejesz, -- ty swoją dobrą panią chcesz zgubić!

Magdusia.

Czy to ja taka głupia jak się panu zdaje? Czy ja nie wiem, że moja pani anioł nie kobieta? że strach Boży byłoby posądzić ją o co złego. — Ot zwyczajnie młoda, wesoła jak rybka w stawie, jak jaskółka na wiosnę, a tu takie stare, obrzydliwe żółwisko patrzy na nią żółtemi niedogasłemi oczyma, niby jastrząb z otwartemi pazurami, — a tu jak przyciśnie do serca, to z piersi wieje niby z grobu, jak pocałuje, to niby zimnego gada do ust przyłożył.

Ona jeszcze i tak bardzo dobra, jabym niewytrzymała i dalibóg nie wiem coby było. Bo to panie, aż łzy w oczach stają patrząc jak ona słucha ciągle, (*udaje kaszel*) ahu! ahu! ahu! i pryszy jakieś dekokty, i obwiązuje jakieś *aprytury* i potulnie znosi ciągłe grymasy łajania, wyrzekania. Albo gdy moją panią ubieram i słyszę jak mąż stęka i woła rumianku, to u-

dusiłabym starego ze złości — Że ta święta ziemia znosi tych starych, którym się podoba brać młode żony i dręczyć je przysobie? Gdybym kiedy była królową, tobym kazała takich drzeć w pasy, albo nie—topić w gorącej smole!.

Pan Łukasz.

Magdusiu—gdyby się pan dowiedział?

Magdusia.

A to niech się dowie,—albo ja się jego boję czy co? Jabym mu w oczy powiedziała, że kto ma lat sześćdziesiąt kilka, kto kaszle, kto z poduszkami jeździ i rumianek pije,—to żal się Boże jego ochoty do młodej żony, to niby tak jakby się panu zachciało przez ten dom przeskoczyć?

Pan Łukasz.

Wyborna jesteś Magdusiu, dalibóg muszę cię uściskać, bo takie rzeczy gadasz, że aż ślinka do ust mi idzie. (*chce ją ująć w pół*).

Magdusia. (uciekając)

O zapewne! panu nieraz ślinka iść musi! Znam

ja was moi panowie, chłop u was to ledwie bozkie stworzenie, ale chłopka a jeszcze młoda i niczego, to smaczny kąsek! No proszę być spokojnym, bom ja gotowa tak panu zrobić jak mnie zrobił mój Filon (*porywa dyscyplinę z nadbiurka*) A co? czy nie tęga – drutowana? siniak od każdego rzemyka pewniuteńki. (*wyglądając oknem*) Ale otóż i pani przyjechała! Patrz pan jak jéj ładnie na koniu w tym okrągłym kapeluszu, w téj długiéj sukni, ale my, to wszystko chować musiemy przed panem, bo byłoby dopiéro biedy gdyby się dowiedział.

Pan Łukasz.

Magdusiu, powieś dyscyplinę.

Magdusia.

A ha! jegomość się boi, a złe broi. Otóż nie powieszę—a jak się pani spyta to powiem że musiałam się nią bronić. Ale otóż i Pani.

Pan Łukasz.

Magdusiu!

Magdusia.

Ha! ha! ha! strach ma duże oczy (*wiesza dyscyplinę*).

SCENA II.

Ciż i Karolina.

Karolina.

(Wchodzi w amazonce w okrągłym kapeluszu ze spicrutą w ręku.

Otóż użyłam spaceru za wszystkie czasy, aż kasztanka pianą się okryła (*spostrzegając pana Łukasza*). A pan Łukasz, sąsiad dobrodziej. Cóż pana tu sprowadza? preferansa nie będzie, bo mego męża nie ma w domu.

Pan Łukasz (kłaniając się).

Powiedziano mi, że pan Kościesza chory, wstąpiłem więc odwiedzieć go,—a tymczasem dowiedziałem się, że wyjechał, jednakowoż....

Magdusia (n. s.)

Ach jak kłamie (*siada do roboty.*)

Karolina.

Jednakowoż co?

Pan Łukasz (oficyalnie).

Jednakowoż sowicie wynagrodzony będę za straconego preferansa, jeżeli pani pozwoli kilka chwil z sobą przepędzić.

Karolina.

A i owszem, wieczory takie długie? Ale ja grać nie umiem i nie zabawię pana interesującemi opowiadaniami o sprawach trybunalskich! Więc nie wiem, czy potrafimy te chwile wzajemnie sobie uprzyjemnić.

Pan Łukasz (n. s.)

O kobiety! Dobrze powiedziano, że kto kiedy zbadał serce wasze i kota? *(głośno)* sąsiadeczka jak widzę uwzięła się prześladować mnie i jeszcze tak okrutnie. Czy to ja tu tylko dla preferansa i przyjemnych opowiadań pana Kościeszy przychodzę?

Karolina.

Przyznam się, że nie wiem dla czegoby innego? Jak tylko pan Łukasz drzwi otwiera, mój mąż każe zaraz podawać karty i przypomina so-

bie jak to tam było w czasie ostatniej kadencyi. Pan zaledwie powiesz upadam do nóg, już trzymasz w ręku damy i assy i podziwiasz obroty jakiegoś trybunalskiego Patrona. Nie wiem więc co by innego mogło tu pana sprowadzać.

Pan Łukasz.

A czy też sąsiadeczka nie dostrzegła czasem, co robią oczy gdy ręce i uszy są zajęte?

Karolina.

Zabawne pytanie! oczy obliczają wygrane lewy (*naśladując sposób mówienia pana Łukasza*). Ale upadam do nóżek sąsiada dobrodzieja, będę mu służyć za chwilkę, tylko w stosowniejszym kostiumie (*wchodzi do alkowy*).

SCENA III.

Pan Łukasz i Magdusia.

Pan Łukasz.

(chodzi po scenie i mówi do siebie.)

Prawdziwie, że nie pojmuję téj kobiety! ciągle jakieś przymówki, jakieś wyrzuty, a kiedy się

zbliżę, kiedy chcę jej dać poznać co mię tu na te śmiertelne nudy co niedziela sprowadza, ona chłodna, obojętna, odpycha mnie zimną jak lód ręką, aby potem znów dręczyć wymówkami! A to oszaleć trzeba, albo odżegnać się od wietrznicy, co trzyma mnie na jedwabnej nitce i przyciąga dla tego aby po tem więcej dręczyć. Przecież nie dopiero wchodzę w świat, widziałem różne kobiety i takie, co to człowiek stoi przed niemi jak student przed professorem, i takie co ich serce za pierwszem słowem, za pierwszem spojrzeniem, nie jest już łamigłówką, ale bądź co bądź można je przynajmniej poznać, zrozumieć, a tu! rób co chcesz, w téj chwili tak, za minutę inaczéj.

Magdusia.

Ha! ha! ha! i to pan-człowiek pismienny a taki mądry, że nawet z naszym panem po niemiecku umie gadać, nie może sobie dać rady! Ha! ha! o tóż to wasz wielki pański rozum, a ja bym go moim prostym chłopskim zakasowała.

śpiewa

(na nutę „Matka nie znając powodu.")

Chcąc kochanka kochać skrycie,
Trzeba baczną być kobiecie.
Nie z Filidy przykład hrać,
Kochając się nie trza spać!!

Tak łaskawy panie, kochając się nie trza spać.

Pan Łukasz.

Jedynaś do rady, ale przecież ja nie śpię, przecież chcę dać jéj poznać, że gdyby nie ona to niechby tu djabli porwali starego Kościeszę z jego preferansem i ostatnią kadencyą, chcę przekonać ją...

Magdusia (przerywając.)

Chcę, chcę i zawsze chcę! A to nieszczęście że ludzie zazwyczaj więcéj chcą niż się im godzi. I nasz pan chce, żeby go żona nawidziła, ale cóż z tego? On przynajmniéj stary, chory, marudny to i nie dziwota, ale pan jak róża, jak krew z mlekiem. Oczy to niby dwie jarzące świece, w pasie jak ulał, a wąsik, to aż się prosi aby się

do ust przycisnął, i pan śmiesz narzekać? A dalibóg to zgroza, to szkoda pańskich lat i urody.

Pan Łukasz.

Ależ Magdusiu ja chodzę jak po szpilkach, ja się boję.

Magdusia.

A kiedy się pan boisz, to już upadam do nóg, to już nie ma dla pana rady. Mężczyzna co się boi kobiety, to musi być albo student, albo starzec albo...

Pan Łukasz (przerywając.)

Nie pleć głupstw, bo trzepiesz jak nawiedzona. Ja się nie boję tak jak ty sobie w głowie ułożyłaś, ale lękam się obrazić ją, ściągnąć jej gniew na siebie!

Magdusia.

Ej niby to nie na jedno wychodzi! Powiadasz pan, że już nie od dziś żyjesz na świecie, a nie wiesz że kobieta nigdy się nie rozgniewa na prawdę, za to, że ją kto pochwali i że ją polubi. Podąsa się trochę, pokrzywi, ale to tak niby

dziecko co chce dostać cacka, a po tem jak mu je dają to odpycha. Dalibóg to rzecz osobliwa, że pan o tém nie wiesz albo nie chcesz wiedzieć, chyba pan nie jesteś taki mądry jak o nim ludzie powiadają.

(słychać głos z alkowy.)

Magdusiu! Magdusiu!

Magdusia.

Pani mnie woła (*wybiega.*)

SCENA IV.

Pan Łukasz (sam.)

Niech mię piorun trzaśnie jeżeli ja z tego wszystkiego choć cokolwiek rozumiem! Słuchając tę dziewczynę to zdawałoby się, że dość krok postąpić aby zyskać zwycięztwo, a ja może już sto kroków zrobiłem, a ona jak ów jakiś przechwalony jurysta zacnego pana Kościeszy, zawsze się zręcznie i chłodno wysunie. Wesoła, wielomówna, ludzie nazywają ją trzpiotem, a dotąd ani jednem słowem, ani jednem spojrzeniem nieośmieliła mnie do siebie. To istny szatan nie kobieta, bo kiedy się wyprzysięgam nie postać tu

już więcej, zawsze jakimś półsłówkiem, pół spojrzeniem, pół uśmiechem trzyma mnie na uwięzi! Ale tego już za nadto, niech będzie co chce a ja jej niedaruję dzisiejszych przymówek, wyjdę bez pożegnania i niech nogi połamię, kark skręcę, jeżeli jeszcze raz ten próg przestąpię. (*szuka kapelusza*) Ho! ho! już tego za nadto! adieu kusicielko, szatanie, trzeba choć raz pokazać żem mężczyzną! (*znajduje kapelusz ale obraca go w ręku, idzie ku drzwiom i znowu wraca*). Ale wychodząc do alkowy jak ona zachęcająco na mnie spojrzała; zdawało się, że chciała przykuć mnie do tych ścian! Gdyby więc dziś? ale nie, nie, to wszystko błędne płomyki któreby mnie tylko w przepaść zawiodły, trzeba i z sobą się podrożyć. (*kładzie kapelusz na głowę i chce wychodzić.*)

SCENA V.

Pan Łukasz, Karolina i Magdusia.

(Magdusia siada do haftowania, Pan Łukasz rzuca kapelusz i wraca.)

Karolina.

(w stroju zwyczajnym nie wykwintnym ale gustownym.)

Przepraszam, przepraszam! Panu zapewne uprzykrzyło się na mnie czekać. Biedne my kobiety, że nie mamy środków zatrzymania panów w naszem towarzystwie; wyżebrania chwilki cierpliwości. Gdyby tu na przykład stał zielony stolik, na nim buteleczka starego węgrzyna, kieliszki, karty i kredki, to pan i tysiące jemu podobnych nie zabieralibyście się do rejterady. Ale że jest tylko na widoku przepędzenie wieczoru z kobietą, więc lepiej zwinąć chorągiewkę.

Pan Łukasz.

Sąsiadeczka się myli, bo ja tylko....

Karolina

Cóż tylko? chciałeś pan może sprobować czy kapelusz nie zaciasny?

Pan Łukasz

Bardzo przepraszam, ale ja chciałem rzeczywiście opuścić te miejsca, gdzie samą gorycz znajduję, gdzie w zamian za moje najszczersze chęci, za moją.... niewiem jak nazwać.... stałość w uczuciach, spotykam same przymówki, gdzie...

Karolina (przerywając)

Kłótnia na potem — a teraz powiedz mi Pan jak dzisiejszy wieczór przepędzimy? Nie grywasz Pan w gry towarzyskie?

Pan Łukasz

(*n. s.*) Znowu zwykła taktyka — (głośno) We wszystkie jakie tylko na świecie exystują.

Karolina

Naprzykład w jaką by tu?

Pan Łukasz

W jaką pani rozkaże.

Karolina

W kotka i w myszkę — w ślepą babkę — w pierścionek — za mało osób? Bieda — bieda z dzisiéjszym wieczorem — jaka to szkoda że nie umiem grać w preferansa?...(po chwili) A nie grywasz pan w szachy.

Pan Łukasz

Ja grywam — ale pani?

Karolina

O najwyborniéj! — czyż mało mam czasu na exercytowanie się codzień w téj szlachetnéj grze. Sama i zawsze sama. A kiedy mój mąż wróci z kancelaryi, to zasiadamy sobie oboje do szachownicy, i wtedy często północ spotka nas przy téj miłéj rozrywce.

Pan Łukasz (ns)

Biedna!

Karolina

Co pan mówisz?

Pan Łukasz

Podziwiam..... cierpliwość pani.

Karolina.

Cierpliwość?—przyznam się, że przymiot ten najniewłaściwiéj jest mi przyznany!—przecież to tak miło dać mata.... nawet kochanemu mężowi. Ale nie traćmy czasu—Magdusiu szachy.

Magdusia

(Stawiając na stole szachownicę i pudełko z szachami)

Oto są (*siada do roboty*)

Karolina (dobywa szachy)

W jakie pan grasz?

Pan Łukasz

Kolor żałoby jest od dawna moim upodobanym kolorem.

Karolina

Czy tak?... Jakież straty, jakież nieszczęścia oswoiły pana z kolorem żałoby.

Pan Łukasz

Nie straty i nieszczęścia, ale zawody w najdroższych uczuciach i wnajpożądańszych nadziejach?

Karolina

Ach jakże pana żałuję — chociaż pan niedorozumiewasz się dla czego.

Pan Łukasz

Zupełnie nie.

Karolina

Żeś pan był taki nieroztropny, czy łatwowierny i narażał swoje uczucia, swoje nadzieje na bolesne zawody. No ale patrz pan na szachownicę, bo doznasz jeszcze jednego zawodu gdy dostaniesz mata.

Pan Łukasz

Ach gdyby tylko takiego zawodu?

Karolina

Panie Łukaszu—pan coś jesteś dziś taki czuły jak sielanka Gesnera—Pan grę najgorzej prowadzisz, królowa jest w niebezpieczeństwie.

Pan Łukasz

Królowa—a tak?! bo moja myśl była teraz przy innej królowéj—królowej moich marzeń.

Karolina

Wybornie—więc pańskie marzenia mają królowę?

Pan Łukasz

O tak—ale królowę okrótną—nieubłaganą.

Karolina

Widać—bo pan zupełnie tracisz głowę—zabieram panu pionki jeden po drugim, a pan marzysz o swojéj królowej.—Prawdziwie że pan jesteś nieznośny ze swemi marzeniami. Takich wzdychających korydonów znieść nie mogę.

Magdusia

A co nie mówiłam panu, że kochając się nie trza spać

Karolina

Jakto więc pan Łukasz kocha się.

Magdusia

Kocha się,—ale tak samo jak gra w szachy; mówiłam już że bardzo ślamazarnie.

Pan Łukasz

Ależ pani.

Karolina

Ależ panie—patrz pan na szachownicę.

Pan Łukasz

Ależ pani to nie podobieństwo.

Karolina

Ależ panie wielkie podobieństwo, że pan dostaniesz mata.

Pan Łukasz

Ależ mnie nie chodzi o mata.

Karolina

Ależ mnie chodzi żebyś pan uważał. Ot już wieża przepadła.

Pan Łukasz

Mniejsza o wieżę—gdyby tylko.....

Karolina

Gdyby tylko pan umiał grać — ale otóż koniec!—szach królowi.

Pan Łukasz

Przecież że koniec.

Karolina

Dla czego?

Pan Łukasz

Nienawidzę gry w szachy.

Karolina

Jak to-więc pan ustępujesz z placu.

Pan Łukasz

Ustępuję.

Karolina

Ach jaka szkoda że ja nie umiem grać w preferansa?

Pan Łukasz

Jedno i zawsze jedno.

Karolina

Tak bo zawsze jedne wady. Chwilkę poświęcić dla przyjemności kobiety, to już poświęcenie nad siły, pięć, sześć godzin strawić przy zielonym stoliku przypatrując się kobietom malowanym to rozrywka.

Pan Łukasz

Pani! ja nie pięć, sześć godzin, ale życie całe gotów jestem poświęcić — ale...

Karolina

Żadne, ale! (*po chwili*) No znowu nowy kłopot, jak zabić kilka godzin wieczoru. Chyba rozmawiajmy opogodzie, czy uważałeś pan jak dziś pięknie słońce świeciło.

Pan Łukasz (*n. s.*)

Jeszcze tego brakuje—wyraźne żarty.

Magdusia

Co tam Pan mruczysz—ot lepiéj byś odpowiedział Pani że wiatr wiał z zachodu.

Karolina

I że stronami deszcz padał.

Pan Łukasz

Pani! już lepiéj grajmy w szachy.

Karolina

Dziękuję — nieumiem tak wielkich poświęceń wynagradzać. Ot wiesz pan co, położę Panu kabałę.

Pan Łukasz

Ale razem i sobie.

Karolina

Tak i sobie.

Pan Łukasz

Ach proszę.

Karolina

Tylko bez uniesień, bez wykrzykników. Magdusiu podaj karty.

Magdusia

O to są (*siada do roboty*),

Pan Łukasz

Czekam na kabałę.

Karolina

Cierpliwości—w jakim Pan chcesz być kolorze?

Pan Łukasz

W tym co i Pani.

Karolina

Mój kolor zależy od mego wyboru — mów Pan za siebie.

Pan Łukasz

Już kiedy tak to kier.

Karolina

Coś bardzo od serca—ale zgoda.

Pan Łukasz

A pani?

Karolina

Ja—później się Pan dowiesz.

Pan Łukasz

Czemuż...

Karolina

Zapytania na później—zbieraj Pan.

Pan Łukasz

Kabała najprzód pani.

Karolina

Najprzód Panu.

Pan Łukasz

Ale proszę.

Karolina

Niesłucham! (*wykłada karty*) Walet kier, ale

co ja widzę?... Pan kochasz się w brunetce z czarnemi oczyma, czy tak?

Pan Łukasz

Tak — tak.

Karolina

I pragniesz jej wzajemności.

Pan Łukasz

Ach tak.

Karolina

A wczoraj pisałeś list do blondynki bogatej, ale już nie młodej, zaklinając się na wszystkie zaklęcia jakie były od początku świata, że dla niej tylko żyjesz. A przed chwilą ścigałeś szatynkę z niebieskiemi oczyma.

Pan Łukasz

Pani! Pani!

Karolina

Panie! Panie! Pan tej brunetki nie kochasz, ale tylko zwyczajem Warszawskich młodzików chcesz zamącić jej spokój, wykraść jej szczęście, jej

swobodę. Pan jak podpalacz rzucasz iskrę w słomianą strzechę, aby potem uciec gdy płomień rozgorzeje. Ale brunetka zna się na takich podpalaczach, umie ich poznać z oczu, z czuprynki ufryzowanej, z minki świętoszków, z glansowanych rękawiczek i pachnących krawatów, umie dojrzeć pod skórą baranka wilcze serce, pod Morelowskim kapeluszem, głowę która o czemś poważniejszém nigdy nie pomyślała.

Pan Łukasz

Dosyć! dosyć! kabała mówi za wiele.

Karolina

Kabała mówi za mało, gdyby znalazła się jaka nowa Le Normand, któraby mogła sięgnąć na dna waszych serc i ostrzedz wszystkie brunetki i blondynki o wszystkich waszych podstępach, obłudnych zamiarach i kłamanych przysięgach, to wynieślibyście się ztąd jak wróble z ogrodu, w którym stracha postawią.

Pan Łukasz

Ale Pani niemożesz mieć pretensyi być tą no-

wą Le Normand. Kabała Pani jest tylko dalszym ciągiem uprojektowanych szykan, któremi mnie oddawna częstujesz. Czy zasłużenie, może się kiedyś przekonasz, a teraz czekam na dalszy ciąg kabały. Chciałbym wiedzieć czy ona i względem Pani będzie tak prawdomówną.

Karolina

O niezawodnie! Ale moja kabała mnie tylko może obchodzić, i dlatego darujesz Pan, że niezaspokoję jego ciekawości. Przeszłość moja jest mu wiadoma, teraźniejszość tak jednostajna, tak zwykła, jak pole szachownicy na równe kratki podzielone, przyszłość taka sama, a długa, a smutna jak łza w oku matki na pogrzebie jedynego dziecięcia. Ot i moja kabała, masz ją pan i bez kart.

Pan Łukasz

Jakże ubolewam nad panią.

Karolina

Ślicznie dziękuję, ale mi to ani pomoże, ani zaszkodzi. Ja już tak oswoiłam się z moim losem, że mi z nim wcale nie ciężko. Czasem przeleci

jakaś chmurka, ot niby teraz — ale i od czegoż wesołość, każę jéj i przyjdzie, a jak przyjdzie to już się o wszystkiem zapomina. Ale niestety! cóż my tu z resztą wieczoru robić będziem?

Magdusia

A gdyby potańczyć!

Karolina

Żartujesz, bez muzyki?!

Magdusia

Nie, nasza szafarka pani Pieprzycka gra śliczne krakowiaki na fortepianie.

Karolina

Prawda, ale jakże w jedną parę.

Magdusia

We dwie, bo mój Filon, pan Skrobalski tańczy do upadłego.

Karolina

Zgoda! poproś panią Pieprzyckę i pana Skrobalskiego. Powiedziałam że *wesołość na rozkaz* przybyć musi.

(Magdusia wybiega.)

SCENA VI.

Pan Łukasz i Karolina

Karolina

Pan sąsiad dobrodziej może gniewa się na mnie za kabałę?

Pan Łukasz

Ja bym się miał gniewać? ja co życie bym oddał za każde słówko z ust tyle mi drogich, za słówko tak powabne i urocze, choć czasem dojmujące i bolesne.

Karolina

Panie Łukaszu to zbyt patetycznie, coś nakształt Abelarda, ale jam nie Heloiza. Ja jestem sobie prosta wesoła kobiecina, której jedynym błędem jest trzpiotarstwo. Ale ja temu niewinna, od małego dziecka nazywano mnie trzpiotem i zapewne aż do siwego włosa tak nazywać będą. Całe moje nieszczęście jest to, że poświęcono mnie na ofiarę widokom i połączono z człowiekiem nie zgodnego zupełnie z mojem usposobieniem, ale to nieupoważnia mnie bynajmniej

do zarezykowania mego i jego imienia. — Nie przeczę, że gdybym była wolną, pan byś może pierwszy znalazł moje względy, ale teraz szkoda pańskich westchnień i trudów. Bądźmy dla siebie tylko dobremi sąsiadamy, z tem nam będzie obojgu lepiéj—a jeżeli kiedy!...

Pan Łukasz (biorąc rękę Karoliny)

Dokończ pani! dokończ!

Karolina (nie ujmując ręki i uśmiechając się)

A jeżeli kiedy... poważysz się pan....

Pan Łukasz (przerywając)

Nie to — nie to — Pani nie to chciałaś powiedzieć!...

Karolina

To—to i tysiąc razy to.

Pan Łukasz

Nie to—nie to, i tysiąc razy nie to.

SCENA VII.

Ciż. Magdusia Skrobalski i Pani Pieprzycka

Magdusia

(n. s.) Jak widzę pan sąsiad ośmielił się.(głośno)

O to jesteśmy wszyscy — będzie bal co się zowie!

Karolina (wesoło)

Prezentuję panu: Pan Skrobalski—nasz kancelista narzeczony Magdusi, a to pani Pieprzycka, której wyborne placuszki tak często pan wychwalasz.

Pan Łukasz

Bardzo mi miło poznać (kłaniają się).

Magdusia (sprząta stołki)

Karolina

Sąsiedzie—proszę w pierwszą parę.

Pan Łukasz

Najchętniej.

Magdusia

Panie Skrobalski—proszę w drugą parę.

(Formują się w pary. Pani Pieprzycka gra krakowiaki—tańczą)

Pan Łukasz

Śpiew

Jeśli będziesz wodę brała, pamiętaj nie kłócić,
Jeśli będziesz mnie kochała—pamiętaj nie smucić,
Bo gdy woda się zamąci—trzeba czekać ranka,
A gdy wyjdziesz z mej pamięci, utracisz kochanka.

(Tańczą i przetańczywszy dwa razy koło, Karolina staje przed muzyką)

Karolina

Śpiew

Do przeniczki ptastwo zleci—nie potrzeba sieci!
Gdzie jest miódek i ogródek tam pszczółka przyleci,

(Tańczą po dwóch kołach. Magdusia staje przed muzyką)

Magdusia

Śpiew

Jeżeli się chcesz ożenić, naraję ja tobie,
Nie pojmujże dworskiej damy za małżonkę sobie;
Bo wybredna dworska dama na dzień długo sypia,
Jeszcze leży na łóżeczku już o kawę pyta.
Jeno sobie taką pojmij która równa tobie
Nie będziesz jéj nic wymawiał, ani ona tobie.

(Tańczą po dwóch kołach. Magdusia znów staje przed muzyką)

Magdusia

Śpiew

Nie buduj się błisko dworu ani blisko szkoły,
Bo dworacy do cię zlecą jak do ula pszczoły,
Wdowy sobie nie obieraj z gromadeczką dzieci,
Bo jak dzieci te wyrosną, to ojczym wyleci,
Nieprzebiera wołek w trawie ani też i fuka,
Co kto sobie upodoba, to i tego szuka.

(Tańczą w końcu drugiego koła, słychać turkot na podwórzu)

Karolina

Co to jest—ktoś przyjechał, (*biegnie do okna*) Mój mąż.

Pan Łukasz

Pan Kościesza!

Magdusia

Jegomość—bo piernaty z bryki wyglądają.

Skrobalski

Dla Boga—Pan Rejent!

Pani Pieprzycka

Jako żywo—nasz Pan!

Karolina

Nie ma czasu do stracenia panie Łukaszu. Panie Skrobalski—marsz do alkowy—tylko prędko — (*mężczyzni chowają się—Magdusia siada do hawtowania—Pieprzycka wychodzi.*

SCENA VIII.

Pan Kościesza—Karolina—Magdusia.

Pan Kościesza

(Wchodzi opieraiąc się na lasce i pokaszlując—strój staréj daty, na głowie lisia czapka)

Jak się masz Karolciu—prawda że zrobiłem

ci suprzyzę moim powrotem—hę! hę! ale w drodze lewy bok tak mnie zabolał że musiałem wrócić—ta przeklęta śledziona. (*Karolina z powagą całuje go w ramię, a on ją w czoło*). Ale co ja widzę? takaś pomięszana —zirytowana, czy tu się co stało pod moją niobecność.?

Karolina (powoli)

Nie—ale obawiałam się—gdyby złodzieje.

Pan Kościesza

Ej próżne obawy — przecież stróż dzień i noc chodzi po ogrodzie.

Karolina]

A potém....

Pan Kościesza

Cóż potém?

Karolina

Ale czy cię to kochany mężu nie zirytuje?

Pan Kościesza

Nie — nie—tylko mów moje życie, bo umieram z niespokojności.

Karolina

Ten pan Łukasz?

Pan Kościesza

Co pan Łukasz?

Karolina

Ten pan Łukasz pustak, półgłówek, co to niby na preferansa co niedziela tu przychodzi, i z takiém zajęciem słucha opowiadań o ostatniéj kadencyi, ośmielił się...

Pan Kościesza (trzęsąc się)

Co ośmielił się?!

Karolina

Ośmielił się zaproponować mi.... Ach omdlewam ze zgrozy i zgorszenia.

Pan Kościesza

Moje życie mów, mów, bo moja śledziona!

Magdusia (n. s.)

On zawsze o swojéj śledzionie... będzie tu tobie śledziona!....

Karolina (kończąc)

Ośmielił się zaproponować mi *rendez vous* dziś o dziesiątej w ogrodzie, w altanie.

Pan Kościesza

Rendez vous ?!

Karolina

Tak — tak—nie inaczej.

Pan Kościesza

Łotr! bezbożnik! ale nauczę ja go nauczę... Strzelby—pistoletów (*tupocze po scenie*) Aj! aj! gdyby nie ta moja śledziona.... ale nauczę — nauczę!

Karolina

Mój drogi mężu uspokój się—to wszystko się załatwi, ukarzesz śmiałka jak należy, nie odbierając mu życia, bez wrzawy, bez rozgłosu, cichuteńko, pięknie a skutecznie.

Pan Kościesza

Słucham — słucham — moje życie — bo tyś jedyna do rady.

Karolina

Oto pójdź na moje miejsce do altany, a złapiesz go na gorącym uczynku.

Pan Kościesza

Idę—biegnę—lecę!....

Karolina

Ale za pozwoleniem—gdyby ujrzał z daleka twoją lisią czapkę i płaszcz z szopami—uciekłby nie wątpliwie—a tu trzeba go złapać za połę; rozumiesz mnie drogi mężu.

Pan Kościesza

Rozumiem.

Karolina

Weź-że na głowę mój kapelusz, a na siebie salopę.

Pan Kościesza

Zgoda... biorę—biorę—dawajcie!

Karolina.

Tylko prędko, bo dziesiąta dochodzi.

Pan Kościesza

Prędko—prędko.

Karolina z pomocą Magdusi ubiera pana Kościeszę w kapelusz i w salopę, wyjęte z szafy w rogu stojącej—pan Kościesza chwyta laskę i wychodzi.)

SCENA IX.

Karolina, Magdusia później **Pan Łukasz i Skrobalski**

Magdusia

Oto mi rozum! oto mi kobieta! Ach moja złota serdeczna pani, ja już mało nie umarłam ze strachu.

Karolina(otwierając drzwi do alkowy)

Panie Skrobalski — z panem Bogiem tylko prędko.(*Skrobalski umyka*)
Panie Łukaszu!

Pan Łukasz (wybiega)

Jestem.

Karolina

Słyszałeś naszą rozmowę.

Pan Łukasz

Słyszałem.

Karolina

I potrafisz z niej skorzystać!

Pan Łukasz

Potrafię! (*porywa dyscyplinę ze sciany wybiega*)

Karolina (zastępując panu Łukaszowi)

Na Boga, co to znaczy.

Pan Łukasz

Bądź pani spokojną—dam tylko małą nauczkę *jednemu za wszystkich*.

Karolina

Nie—nie—ja na żadne nauczki nie pozwolę; jego zdrowie.

Pan Łukasz

Będzie w najlepszym stanie. (*wydziera się i wybiega*)

Karolina

Co to będzie?

Magdusia

Co to będzie?!

(wybiegają)

Teatr się zmienia—altana w ogrodzie, drzewa i krzewy, księżyc jasno przyświeca.

SCENA X.

Pan Kościesza

(siedzi w altanie oparty na lasce i otula się salopą)

Patrzcie —go, a ja myślałem, że to człowiek stateczny, poczciwy —a to urwis jak i drudzy..... Sąsiad—piękny mi sąsiad, co chce wdzierać się za cudze kopce, nie szanując praw własności! A tak się ułożył, tak się przyczaił, że byłbym przysiągł iż on tu na preferansa przychodzi. Oj świat, świat, teraz—wszędzie zepsucie—wszędzie zgorszenie. Ja powiedziałem, że ta para, te lokomotywy, te statki parowe, licha nam narobią i antychrysta sprowadzą. To wszystko jego spraw-

ki, bo dawniej nie tak panie bywało. Ludzie nie jeździli parą, ale po uczciwemu końmi i nie zachciewało się im w cudze granice wjeżdżać, nawet tam gdzie prawa kanoniczne i kryminalne nie pozwalają. Albo to teraz który z młokosów zna prawa kryminalne i kanoniczne—hę!—gdzie tam;—oni znają jakiegoś tam Bajrona, jakiegoś Kraszewskiego i przechwalają się postępem oświaty, — piękny mi postęp, który im każe postępować, aż tam gdzie nie wolno? A tego wszystkiego ta przeklęta para narobiła i te cukrownie, co je teraz na wyścig zakładają. Cukru dosyć, ludziom słodko, i szukają wszędzie słodyczy. Hola mój panie! dam ja ci słodycz, aż ci w gardle na rok zagorzknie, aż się nie porachujesz z kościami. Żona to moja własność, jak wieś, jak dom, jak sprzęt— a choćbym, dajmy na to, tylko patrzył na moją własność, to drugiemu od méj własności wara—wara! bo artykuł 2589 kodexu kryminalnego wyraźnie powiada.... (*słucha*) Ale cyt—coś szeleści, (*wychyla głowę z altany*) Ach jak mi serce bije! Gdyby tu moja żona była—ona co za wsze powiada, że nie czuje

we mnie krwi!. przekonałbym ją teraz—przekonał! Ale na prawdę ktoś idzie — (*wygląda*).

SCENA XI.

Pan Kościesza i Pan Łukasz.

Pan Łukasz

wpada, porywa za rękę pana Kościeszę, wyciąga go z altany, mówiąc)

A taka to z pani żona?
A gdzie wiara przysiężona?
Gdzie uczciwość? przywiązanie,
A gdzie szóste przykazanie?
Tak cenisz spokojność, zgodę?
Masz nagrodę—masz nagrodę! (*)

Za każdym wyrazem bije go po plecach dyscypliną

Pan Kościesza

Chcąc wyrwać rękę panu Łukaszowi

Aj! aj! aj! moja śledziona! panie Łukaszu — to ja—to ja! (*zruca kapelusz z głowy*,)

(*) Wierszyki te i scena XI. wzięte są z zakończenia dowcipnego wierszyka T. Massalskiego, gdyż treść całego tego obrazku, osnuta jest na prawdzwem zdarzeniu.

Pan Łukasz

— Dla Boga—co to jest? co się znaczy?

Pan Kościesza

Co się znaczy—co się znaczy? To się znaczy że tyś uczciwy chłopiec, a moja żona anioł kobiéta.

Pan Łukasz (poważnie)

Zacny panie Kościeszo! szanowny sąsiedzie—racz darować, przebaczyć!.. To się jakoś dziwnie złożyło—bo to była próba—wielka próba, jak naprzykład wiesz — złoto próbuje się przez ogień. Otoż ja słysząc rozmaite pogłoski, szkodzące sławie tak zacnego domu, chciałem spróbować i dać nauczkę jejmości.

Pan Kościesza

Dziękuję ci nieoceniony przyjacielu—dziękuję! ale moja żona to kobiéta, jakiéj drugiéj pod słońcem niema. Ona sama wykryła mi wszystko i prosiła abym cię przykładnie ukarał.

Pan Łukasz

A więc wszystko skończone jak najlepiéj.

Pan Kościesza

Skończone—skończone—ale djableś mi boki wyłatał,—teraz moja śledziona.....

SCENA OSTATNIA.

Ciż, Karolina i Magdusia.

Karolina

Co się tu dzieje!?

Magdusia

Co się tu dzieje!?

Pan Kościesza

Nic—nic —moja duszko,—wystaw sobie, on tylko chciał dać ci porządną nauczkę. Ta nauczka mnie się dostała, ale to nic nie szkodzi, bo przekonałem się, że mam najwierniejszą żonę i najlepszego przyjaciela!

(*do pana Łukasza*) Chodź kochany sąsiedzie zagramy pulkę preferansa

(wychodzą)

Magdusia

Otóż to kobiecy rozum, — siedmiu mędrców nie zdobyło by się na taki koncept, aby tak

gładko wyprowadzić w pole starego, (*po chwili obracając się do publiczności*) Chociaż powiedźcie mi państwo, *kto tu winien!*?

śpiew

Zapewne nie młoda żona?
Bo to panie rady niema;
Z ogniem nie zgodzi się woda,
Ani z kwiatem mróz i zima.

Zapewne nie chłopiec młody?
Trudno ufać wilczéj cnocie,
Chętka wiedzie go do szkody,
Cudzy kąsek to łakocie.

Ale wy co udajecie,
Żeście i młodzi i zwinni,
Co się do młodych żon rwiecie,
Choć wam już duszno na świecie,
Choć stękacie i kaszlecie,
Wyście winni—*wyście winni*!

KONIEC.

SPIS RZECZY.